

David Hume

Wybór esejów

Autobiografia

Trudno jest człowiekowi długo mówić o samym sobie bez próżności, dlatego będę się streszczał. Za przykład próżności może zostać uznane to, że w ogóle zamierzam pisać o własnym życiu, jednak opowiadanie to zawierać będzie niewiele więcej niż historię mych pism, gdyż w gruncie rzeczy niemal całe moje życie upłynęło na zajęciach literackich. Pierwszy zaś sukces większości moich pism nie był aż taki, by stanowić tytuł do dumy.

Urodziłem się 26 VI 1711 roku kalendarza juliańskiego w Edynburgu. Pochodzę z dobrej rodziny, zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki: rodzina mego ojca jest gałęzią rodu lorda Home czy Hume; przodkowie moi od kilku pokoleń byli właścicielami posiadłości ziemskiej, która należy do mojego brata. Matka była córką sir Davida Falconera, prezesa Kolegium Sprawiedliwości: tytuł lorda Halkertona drogą sukcesji przeszedł na jej brata. Mimo to rodzina moja nie była zamożna, a ponieważ byłem młodszym z braci, moja ojcowizna, zgodnie z obyczajem mego kraju, była, rzecz jasna, bardzo nieznaczna. Ojciec, który uchodził za człowieka uzdolnionego, zmarł, gdy byłem dzieckiem, pozostawiając mnie wraz ze starszym bratem i siostrą pod opieką matki, kobiety wielkich zalet, która, choć młoda i urodziwa, bez reszty poświęciła się wychowaniu i kształceniu swych dzieci. Z powodzeniem przebyłem zwykłą drogę wykształcenia i bardzo wcześnie zapalałem namietnością do literatury, będącej główną pasją mego życia i wielkim źródłem radości. Moje pilne usposobienie, stateczność oraz pracowitość podsunęły mej ro-

dzinie myśl, że odpowiednim dla mnie zawodem będzie prawo; ja sam jednak odkryłem w sobie nieprzezwyciężoną awersję do wszystkiego z wyjątkiem zgłębiania filozofii i wiedzy ogólnej, i kiedy rodzina myślała, że ślęczę nad Voecjuszem i Vinniuszem, autorami, których pochłaniałem, byli Cyceron i Wergiliusz.

Ponieważ jednak mój bardzo skromny majątek nie współgrał z takim planem życia, a moje zdrowie zostało nieco nadszarpnięte przez pilność i zapał – uległem pokusie, czy raczej przymusowi, podjęcia próby (nieudanej) wejścia na bardziej aktywną scenę życia. W roku 1734 przybyłem do Bristolu z kilkoma listami polecającymi do słynnych kupców, jednakże po paru miesiącach przekonałem się, że scena owa jest dla mnie całkowicie nieodpowiednia. Udałem się więc do Francji z zamiarem kontynuowania studiów w wiejskim zaciszu; tam też ułożyłem sobie plan życia, który realizuję wytrwale i z powodzeniem. Aby nie zaszkodzić własnej niezależności, postanowiłem, że wielka skromność trybu życia zrekompensuje mi brak majątku i że za rzecz godną pogardy będę uznawał wszystko z wyjątkiem doskonalenia mych literackich talentów.

We francuskim zaciszu, najpierw w Reims, lecz głównie koło La Fleche, w Anjou, napisałem *Traktat o naturze ludzkiej*. Po upływie trzech miłych lat spędzonych w tym kraju, w roku 1737, przybyłem do Londynu. Pod koniec roku 1738 opublikowałem *Traktat* i natychmiast udałem się do matki i brata, który mieszkał w swym domu na wsi, gdzie z powodzeniem i ze znanstwem zajmował się powiększaniem majątku.

Nigdy żadna próba literacka nie była mniej fortunna niż mój *Traktat o naturze ludzkiej*. Wyszedł on martwy spod prasy, nie zwracając na siebie uwagi zdolnej wywołać wśród zelotów choćby pomruk. Mając wszakże usposobienie pogodne i pełne optymizmu, bardzo prędko otrząsałem się po ciosie i z wielkim zapałem przystąpiłem do kontynuacji mych studiów na wsi. W roku 1742 wydałem w Edynburgu pierwszą część swych esejów. Rzecz została przychylnie przyjęta i wkrótce sprawiła, że zupełnie zapomniałem o poprzednim rozczarowaniu. Wraz z matką i bratem nadal przebywałem na wsi; w owym czasie pogłębiłem też swą znajomość greki, którą we wczesnej młodości bardzo zaniedbałem.

W roku 1745 otrzymałem list od markiza Annandale, który zapraszał mnie, abym przybył i zamieszkał razem z nim w Anglii; stwier-

dziłem również, że przyjaciele i rodzina tego młodego szlachcica pragną powierzyć go mej opiece, gdyż domagał się tego stan jego umysłu i zdrowia. Mieszkałem z nim przez dwanaście miesięcy. Moje dochody z owego okresu sprawiły, że skromny majątek znacznie się powiększył. Później otrzymałem od generała St. Clair propozycję towarzyszenia mu w roli sekretarza podczas jego ekspedycji, którą najpierw planowano do Kanady, lecz która zakończyła się dotarciem do wybrzeży Francji. W roku następnym, a mianowicie 1747, otrzymałem od generała propozycję towarzyszenia mu w misji wojskowej na dworach Wiednia i Turynu. Przywdziałem więc mundur oficera i wraz z sir Henrym Erskine'em oraz kapitanem Grantem – obecnie generałem Grantem – wprowadzony zostałem na owe dwory jako adiutant generała. W całym moim życiu owe dwa lata były niemal jedyną przerwą w studiach: spędziłem je mile i w dobrym towarzystwie, a moje dochody, przy skromnym trybie życia, pozwoliły zgromadzić majątek, który uznałem za podstawę niezależności, choć większość mych przyjaciół skłonna była się uśmiechać, gdy o tym mówiłem; słowem: byłem teraz właścicielem blisko tysiąca funtów.

Zawsze uważałem, że mój brak powodzenia przy publikacji *Traktatu o naturze ludzkiej* wynikał raczej z formy niż z treści i że popełniłem bardzo typową nieostrożność, zbyt wcześnie oddając go do druku. Dlatego też pierwszą część pracy ułożyłem na nowo – w *Badaniach dotyczących rozumu ludzkiego*, które zostały opublikowane, gdy przebywałem w Turynie. Z początku jednak i ta rzecz odniosła sukces niewiele większy niż *Traktat o naturze ludzkiej*. Po powrocie z Włoch ku własnemu wstydowi zastałem całą Anglię w stanie wzburzenia z powodu *Free enquiry* dr. Middletona, podczas gdy moje dzieło przeszło zupełnie niezauważone i zlekceważone. Nowe wydanie mych *Esejów moralnych i politycznych*, opublikowanych w Londynie, spotkało się z przyjęciem niewiele lepszym.

Taka jest jednak siła wrodzonego usposobienia, że niepowodzenia te zrobiły na mnie małe wrażenie, albo wręcz żadnego. W roku 1749 pojechałem do domu i zamieszkałem wraz z bratem w jego majątku na wsi, gdyż teraz matka moja już nie żyła. Napisałem tam drugą część esejów, które zatytułowałem *Rozprawy polityczne*, a także *Badania dotyczące zasad moralności*, będące inną, napisaną od nowa, częścią mojego *Traktatu*. W tym czasie mój księgarz, A. Millar, po-

wiadomił mnie, że moje wcześniejsze publikacje (wszystkie z wyjątkiem nieszczęsnego *Traktatu*) zaczynają być przedmiotem rozmów, że sprzedaż stopniowo rośnie i że istnieje zapotrzebowanie na nowe wydania. W ciągu roku ukazały się dwie czy trzy odpowiedzi księży i biskupów; stwierdziłem też, na podstawie szyderstw dr. Warburtona, że książki te zaczynają być cenione w dobrym towarzystwie. Mimo to powziąłem postanowienie, w którym trwałem nieugięcie, że nigdy nikomu nie odpowiem; a ponieważ nigdy nie byłem bardzo drażliwy, z łatwością trzymałem się z dala od wszelkich literackich sprzeczek. Te oznaki rosnącej reputacji były dla mnie zachętą, gdyż zawsze byłem skłonny widzieć pozytywną raczej niż negatywną stronę rzeczy; lepiej posiadać takie usposobienie, niż urodzić się w majątku przynoszącym 10 tysięcy rocznego dochodu.

W roku 1751 przeprowadziłem się z prowincji do miasta – na scenę odpowiednią dla pisarza. W roku 1752, w Edynburgu, gdzie mieszkałem, opublikowane zostały *Rozprawy polityczne*, moje jedyne dzieło, którego pierwsze wydanie odniosło sukces. Spotkało się ono z dobrym przyjęciem za granicą i w kraju. W tym samym roku, w Londynie, ukazały się *Badania dotyczące zasad moralności*, które w moim przekonaniu (co nie powinno przesądzać sprawy) ze wszystkich moich pism historycznych, filozoficznych i literackich są pracą nieporównywalnie najlepszą. Poszły one w świat zupełnie niezauważone.

W roku 1752 Stowarzyszenie (*Faculty*) Adwokatów wybrało mnie na bibliotekarza; funkcja ta przynosiła mi dochody skromne albo żadne, lecz pozostawiała do mej dyspozycji okazałą bibliotekę. Wówczas to powziąłem plan napisania *Historii Anglii*; zlekkszy się jednak myśli o snuciu opowieści obejmującej 1700 lat, rozpocząłem od wstąpienia na tron Stuartów; epoki, w której, jak sądziłem, przeważnie pojawiać się zaczęły błędne wyobrażenia, rozpowszechniane przez faksje. Wyznaję, że z optymizmem oczekiwałem powodzenia tego dzieła. Sądziłem też, że jestem jedynym historykiem, który równocześnie zlekceważył: współczesną władzę, interesy, autorytet i twierdzenia płynące z popularnych przesądów a ponieważ rzecz dostosowana była do poziomu każdego odbiorcy, spodziewałem się odpowiedniego aplauzu. Wielkie jednak było moje rozczarowanie: rozległ się jeden wielki wrzask – wymówki, nagany, a nawet nienawiść. Anglik, Szkot i Irlandczyk, wig i torys, duchowny i sekciarz, libertyn i bigot, patriota

i pochlebca – zjednoczyli się w furii przeciw człowiekowi, który śmiał uronić łzę współczucia nad losem Karola I i lorda Strafforda; a gdy pierwszy wybuch furii ucichł, książka moja, co było jeszcze bardziej upokarzające, zdawała się popadać w zapomnienie. Pan Millar zakomunikował mi, że w ciągu dwunastu miesięcy sprzedał jedynie 45 egzemplarzy. W istocie, prawie nie słyszałem żeby, w którymś z trzech królestw mógł ją znieść choćby jeden człowiek o znacznym stanowisku czy dokonaniach literackich. Muszę tu uczynić wzmiankę o prymasie Anglii, dr. Herringu, oraz o prymasie Irlandii, dr. Stone, którzy zdają się być dwoma osobliwymi wyjątkami. Każdy z owych czcigodnych dostojników pisał do mnie, bym się nie zniechęcał.

Ja jednak, wyznając, byłem zniechęcony i gdyby w owym czasie nie wybuchła wojna Francji z Anglią, zapewne usunąłbym się na prowincję, do jakiegoś miasta w tym pierwszym królestwie, zmieniłbym nazwisko i nigdy więcej nie wrócił do kraju rodzinnego. Ponieważ jednak plan ten okazał się obecnie nierealny, a praca nad kolejnym tomem była zaawansowana, postanowiłem zdobyć się na odwagę i wytrwać.

W międzyczasie, wraz z kilkoma innymi rzeczami, opublikowałem w Londynie moją *Naturalną historią religii*: spotkała się ona ze skromnym odzewem, pomijając fakt, że dr Hurd napisał przeciw niej pamflet – z całą tą drażliwością, arogancją i obelżywością, którymi odznacza się szkoła Warburtona. Pamflet ten był dla mnie pewnym pocieszeniem wobec obojętnej poza tym recepcji mego dzieła.

W roku 1756, dwa lata po wydaniu pierwszego tomu, opublikowany został tom drugi mojej *Historii*, obejmujący okres od śmierci Karola I aż do rewolucji. Przez przypadek dzieło to wywołało mniejszy gniew wigów i zostało lepiej przyjęte. Nie tylko utrzymało się na powierzchni, ale nawet pomogło wypłynąć swemu nieszczęsnemu bratu.

Choć doświadczenie nauczyło mnie, że partia wigów rozdaje wszystkie stanowiska, zarówno w państwie, jak i w literaturze, to jednak w tak znikomym stopniu skłonny byłem ulec ich bezsensownemu wrzaskowi, że przeszło sto zmian, jakich w wyniku dalszych studiów, lektury czy refleksji dokonałem w części dotyczącej panowania dwu pierwszych Stuartów, wprowadzałem niezmiennie na korzyść torysów. Śmieszne jest uważać angielską konstytucję sprzed tego okresu za systematyczny projekt wolnościowy.

W roku 1759 opublikowałem moją historię rodu Tudorów. Wrzask podniesiony przeciw temu dziełu był niemal równy temu, jaki podniesiono przeciw historii dwu pierwszych Stuartów. Ze szczególną szkaradnością atakowano rządy Elżbiety. Teraz jednak byłem nieczuły na przejawy szaleństwa ogółu i dalej wiodłem spokojną i dostatnią egzystencję w zaciszu Edynburga, zamierzając zawrzeć w dwu tomach wcześniejszą część *Historii Anglii*, którą przedstawiłem publiczności w roku 1761 ze znośnym i tylko znośnym powodzeniem.

Jednakże mimo zmienności wiatrów i mód, na którą wystawione były moje pisma, nadal przynosiły one takie zyski, że pod względem dochodu ze sprzedanych egzemplarzy, który doręczyli mi księgarze, znacznie przewyższały każdą rzecz znaną dotychczas w Anglii; stałem się nie tylko niezależny, lecz nawet zamożny. Schroniłem się więc na szkockiej prowincji, postanawiając nigdy więcej jej nie opuszczać i mając tę satysfakcję, że nigdy o nic nie prosiłem żadnego wielkiego pana i nawet nie zabiegałem o przyjaźń żadnego z nich. Ponieważ skończyłem teraz 50 lat, zamierzałem spędzić resztę życia na sposób filozoficzny – gdy w roku 1763 otrzymałem od lorda Hertforda, z którym bynajmniej nie byłem zaznajomiony, zaproszenie do jego ambasady w Paryżu, z widokami na objęcie stanowiska sekretarza ambasady; w międzyczasie miałem sprawować ten urząd. Propozycję tę, jakkolwiek była kusząca, z początku odrzuciłem, ponieważ nie miałem chęci nawiązywać stosunków z wielkimi panami, jak również z powodu obawy, że uprzejmości i wesołe towarzystwo Paryża okażą się niemiłe osobie w moim wieku i o moim usposobieniu; gdy jednak jego lordowska mość ponowił zaproszenie, przyjąłem je. Miałem wszelkie powody, związane zarówno z przyjemnością jak i z interesem, by sądzić, że będę szczęśliwy jako znajomy owego pana wielkiego rodu, a także – później – jako znajomy jego brata, generała Conwaya.

Ci, którzy nie widzieli osobliwego działania mód, nigdy nie będą w stanie wyobrazić sobie przyjęcia, jakie zgotowali mi w Paryżu mężczyźni i kobiety wszelkich rang i pozycji. Im bardziej wzbrañałem się przed nadmiarem ich uprzejmości, tym bardziej mnie nimi obdarzano. Zaiste, mieszkanie w Paryżu daje prawdziwą satysfakcję, której źródłem jest obecność bardzo licznego, wrażliwego, mądrego i uprzejmego towarzystwa, w jakie Paryż obfituje

w stopniu większym niż jakiekolwiek miejsce na ziemi. Kiedyś myślałem nawet, by osiedlić się tam na stałe.

Zostałem mianowany sekretarzem ambasady, a w lecie 1765 lord Hertford opuścił mnie, otrzymawszy tytuł namiestnika królewskiego w Irlandii. Byłem *chargé d'affaires* do czasu przybycia księcia Richmond, pod koniec roku. Z początkiem 1766 opuściłem Paryż, a w roku następnym udałem się do Edynburga z tym samym zamiarem co poprzednio – z intencją ukrycia się w mym filozoficznym zaciszu. Do domu wróciłem nie jako bogacz, lecz mając znacznie większą sumę pieniędzy i ze znacznie większym dochodem – dzięki przyjaźni z lordem Hertfordem – niż przy wyjeździe; pragnąłem też skosztować owoców zbytku, jako że już wcześniej zrobiłem eksperyment w tym zakresie. Jednak w roku 1767 otrzymałem od pana Conwaya propozycję zostania podsekretarzem; zaproszenia tego, z uwagi na charakter osoby, jak również z uwagi na moje stosunki z lordem Hertfordem, nie odrzuciłem. W roku 1769 wróciłem do Edynburga bardzo zamożny (gdyż posiadałem roczny dochód wysokości 1000 ludwików), zdrow i choć w cokolwiek podeszłym wieku, to przecież z perspektywą długiego wypochnięcia i oglądania, jak rośnie moja sława.

Wiosną roku 1775 powalił mnie rozstrój jelit, który z początku nie wywołał mego niepokoju, lecz który, jak się obawiam, stał się z czasem chorobą śmiertelną i nieuleczalną. Obecnie liczę się z rychłą śmiercią. Bardzo niewiele cierpień sprawił mi ten rozstrój, i co jeszcze osobliwsze, mimo że cała moja osoba bardzo podupadła, nigdy ani na chwilę nie straciłem otuchy; tak dalece że gdybym miał wymienić ten okres mego życia, który najbardziej chciałbym przeżyć raz jeszcze, skłonny byłbym wskazać ów czas schyłkowy. Zapał do studiów przejawiam taki sam, jak zawsze – i taką samą wesołość w towarzystwie. Poza tym uważam, że człowiek 65-letni, umierając, tylko oszczędza sobie kilku lat słabości, i chociaż widzę, że moja literacka sława nareszcie rozbłysła większym blaskiem, to wiem, że mógłbym mieć tylko kilka lat, by się nią nacieszyć. Trudno być bardziej odciętym od życia niż ja w tej chwili.

By zakończyć opis mego charakteru: jestem, czy raczej byłem (gdyż jest to właściwa forma, której muszę używać, mówiąc o sobie, co tym bardziej ośmiela mnie do szczerości), byłem, jak mówię, człowiekiem łagodnego charakteru, opanowanym; otwartym, o towarzy-

skim, pogodnym usposobieniu, zdolnym do przywiązania, niezbyt skłonny do wrogości i bardzo umiarkowanym we wszelkich namiętnościach. Nawet miłość sławy literackiej, główna moja namiętność, nigdy nie uczyniła mnie zgorzkniałym, mimo częstych niepowodzeń. Moim towarzystwem nie gardzili ani ludzie młodzi i lekkoduchy, ani uczeni oraz literaci; a ponieważ szczególną przyjemność znajdowałem w towarzystwie skromnych niewiast, nie miałem powodu, by się uskarżać na przyjęcie, z jakim spotykała się wśród nich moja osoba. Słowem, mimo że ludzie mądrzy i wybitni przeważnie znajdują powód, by uskarżać się na kalumnie, mnie samego nigdy nie drasnął ani nawet nie próbował drasnąć ich złośliwy ząb. I chociaż bez potrzeby narażałem się na wściekłość faksji cywilnych czy religijnych, to one same, w swej zwykłej furii, zdawały się wobec mnie bezradne. Moi przyjaciele nigdy nie mieli powodu do obrony czegokolwiek w moim charakterze czy postępowaniu. Rzecz nie w tym, by zeloci, jak możemy przypuszczać, nie chcieli wymyślić i rozpowszechnić jakiejś opowieści ze szkodą dla mnie, lecz w tym, że nigdy nie wynaleźli żadnej takiej historii, która, w ich przekonaniu, mogłaby mieć pozory prawdopodobieństwa.

Nie mogę powiedzieć, żeby w tej mojej mowie pogrzebowej nie było śladu próżności, mam jednak nadzieję, że nie jest ona bezpodstawna; i jest to fakt bezsporny, i dobrze potwierdzony.

18 czerwca 1776 roku

O umowie założycielskiej

Ponieważ w obecnym stuleciu żadna partia nie może się obyć bez spekulatywnego czy filozoficznego systemu zasad, dołączonego do jej systemu politycznego i praktycznego, przekonujemy się, że każda z faksji, na jakie podzielony jest ten naród, wniosła filozoficzny gmach celem obrony i uzasadnienia podejmowanych przez siebie działań. Że zaś ludzie są zwykle bardzo kiepskimi budowniczymi, zwłaszcza w kwestiach spekulatywnych, i jeszcze gorszymi, gdy roz-

namiętnia ich partyjny zapal, naturalne jest podejrzenie, że ich dzieło musi być cokolwiek bezkształtne, zdradzając oczywiste oznaki owego chaosu i pośpiechu, wśród których zostało wzniesione. Jedna partia, wywodząc rząd ze zrządzenia Boga, usiłuje przedstawić go jako byt tak uświęcony i nienaruszalny, że choćby był on najbardziej tyrański, jego naruszenie czy zmiana, nawet w najdrobniejszym punkcie, musi być czymś niewiele mniejszym od świętokradztwa. Druga partia, w pełni opierając rząd na zgodzie ludzi, zakłada, że istnieje coś w rodzaju pierwotnej umowy społecznej, na mocy której poddani milcząc zastrzegają sobie prawo sprzeciwu wobec tyrana, gdy tylko stwierdzą, że zostali pokrzywdzeni przez ową władzę, którą z pewnych powodów go obdarzyli. Takie są spekulatywne zasady obu partii; takie też są wyprowadzone z nich praktyczne wnioski.

Śmiem twierdzić, że obydwa te systemy zasad spekulatywnych są słuszne, choć nie w sensie zamierzonym przez partie, i że oba łańcuchy wniosków praktycznych są rozsądne, choć nie w skrajnościach, do których każda z partii w opozycji do swej rywalki zwykle usiłuje je doprowadzić. Że Bóg jest najwyższym autorem wszelkiego rządu, temu nie zaprzeczy nikt, kto przyjmuje istnienie Opatrzności i zakłada, że wszystkie wydarzenia we wszechświecie mieszczą się w jednolitym planie i zmierzają do mądrych celów. Ponieważ nie jest możliwe, aby rasa ludzka przetrwała bezpiecznie i w dobrym stanie bez ochrony rządu, instytucja ta z pewnością musiała zostać obmyślana przez ową dobroczynną Istotę, która pragnie dobra wszystkich swych stworzeń; a ponieważ rząd istniał zawsze we wszystkich krajach, z jeszcze większą pewnością możemy stąd wnioskować, że został zamierzony przez ową dobroczynną Istotę, której nigdy nie może zwieść jakiegokolwiek wydarzenia czy działania. Ponieważ jednak Istota owa dała rządowi początek nie przez jakąś szczególną czy cudowną ingerencję, lecz wskutek swej skrytej i powszechnej aktywności, zatem suweren nie może, mówiąc ściśle, być nazywany namiestnikiem w jakimkolwiek innym sensie, niż ten, w jakim każdą moc czy siłę, która wywodzi się od Stwórcy, można uznać za działającą z Jego upoważnienia. Cokolwiek faktycznie się zdarza, uwzględnione jest w ogólnym planie czy zamiarze Opatrzności; z tej racji nawet największy i najbardziej prawowity książę nie może rościć pretensji do jakiejś szczególnej świętości i nienaruszalności swej władzy; pretensji większej niż podrzędny sędzia czy nawet uzurpator albo rozbójnik czy pirat. Ten sam boski nadzorca, który kierując

się mądrymi racjami, obdarzył władzą Tytusa czy Trajana – bez wątpienia z racji równie mądrych nadał ją Borgii czy Angrii. Te same przyczyny, które dały początek władzy suwerena w każdym państwie, podobnie ustanowiły w nim każde pomniejsze prawo i każdą ograniczoną władzę. A zatem policjant w stopniu nie mniejszym niż król urzęduje z boskiego nadania i posiada niewzruszone prawa.

Kiedy zważymy, że wszyscy ludzie pod względem siły fizycznej, a nawet sprawności i uzdolnień intelektualnych – dopóki nie zostaną one poddane kształceniu – są niemal równi sobie, z konieczności musimy przyznać, że nic oprócz ich własnej zgody nie mogłoby ich na początku ze sobą stowarzyszyć i poddać jakiegokolwiek władzy. Gdy historię rządu prześledzimy od początku, od lasów i pustyń, stwierdzimy, że to ludzie są źródłem wszelkiej władzy i jurysdykcji i że w sposób dobrowolny, przez wzgląd na pokój i porządek, zrzekli się oni swej przyrodzonej wolności i przyjęli prawa od swego towarzysza i człowieka im równego. Warunki, na jakich zgodzili się podporządkować, zostały albo wyartykułowane, albo były tak jasne i oczywiste, że ich artykulacja mogła się wydawać zbędna. Jeśli więc tak należy rozumieć umowę społeczną, trudno zaprzeczyć, że każdy rząd został z początku oparty na umowie i że najbardziej starożytne, prymitywne grupy ludzkie powstawały głównie w ten sam sposób. Na próżno pyta się nas o to, jakie świadectwa zawierają statut naszych wolności. Nie zapisano go na pergaminie ani na liściach czy na korze drzew. Poprzedzał on pismo oraz wszelkie cywilizowane sztuki życia. Odnajdujemy go po prostu w naturze człowieka i w równości, albo w czymś do równości zbliżonym, co napotykamy we wszystkich jednostkach tego gatunku. Siła, która tryumfuje teraz i która opiera się na flotach i armiach, jest oczywiście politycznym skutkiem wynikającym z istnienia władzy; jest skutkiem ustanowienia rządu. Naturalna siła człowieka polega jedynie na mocy członków i stałości odwagi, które nie są w stanie podporządkować wielu władzy jednego. Wpływu takiego nie mogło mieć nic oprócz ich własnej zgody oraz ich oczekiwania korzyści płynących z pokoju i porządku.

A przecież nawet owa ugoda przez długi czas była bardzo niedoskonała, nie mogąc stanowić podstawy funkcjonowania administracji. Wódz, który prawdopodobnie zdobył wpływy w czasie trwania wojny, rządził, przekonując raczej, niż rozkazując; i dopóki mógł używać siły, aby dyscyplinować opornych i nieposłusznych, dopóty nie

można było powiedzieć, że społeczeństwo osiągnęło stan rządu cywilnego. Oczywiście jest, że nie zostało zawarte żadne porozumienie czy zgoda na ogólne posłuszeństwo, gdyż jest to idea daleko wykraczająca poza zdolność pojmowania dzikich; każda interwencja woźdza musiała być czymś odrębnym i podyktowanym przez konieczność bieżącej sytuacji, odczuwalna korzyść płynąca z jego ingerencji sprawiała, że owe interwencje codziennie stawały się coraz częstsze, ich częstotliwość zaś stopniowo zrodziła nawykową i, jeśli tak ją chcecie nazwać, dobrowolną, a zatem nietrwałą, zgodę ludzi.

Jednakże filozofów, którzy (jeśli nie jest to wewnętrzna sprzeczność) są zwolennikami partii, nie zadowolają takie ustępstwa. Nie tylko twierdzą oni, że rząd, w swych najwcześniejszych początkach, powstał dzięki porozumieniu czy raczej dzięki dobrowolnej zgodzie ludzi – lecz również utrzymują, że nawet teraz nie opiera się on na żadnej innej podstawie. Filozofowie ci twierdzą, że wszyscy ludzie nadal rodzą się równi i nie muszą poczuwać się do lojalności wobec jakiegokolwiek księcia czy rządu, jeśli nie wiąże ich zobowiązanie lub sankcja obietnicy. A ponieważ żaden człowiek nie wyrzeknie się za darmo korzyści wypływających z jego przyrodzonej wolności i nie podda się woli innego, obietnica ta zawsze odczytywana jest jako warunkowa i nie nakłada nań żadnego zobowiązania, jeśli nie oznacza sprawiedliwości i ochrony ze strony jego suwerena. Korzyści te suweren obiecuje mu w zamian, a jeśli się z nich nie wywiąże, wówczas łamie warunki umowy i w ten sposób zwalnia swych poddanych z obowiązku posłuszeństwa. Taka jest, według owych filozofów, podstawa władzy każdego rządu; takie też jest prawo sprzeciwu przysługujące każdemu z poddanych.

Gdyby jednak ci, którzy tak argumentują, rozejrzeli się po świecie, nie znaleźliby niczego takiego, co w najmniejszym stopniu odpowiadałoby ich ideom albo mogło uzasadnić tak subtelny system filozoficzny. Przeciwnie, wszędzie natrafiamy na władców, którzy uważają poddanych za swą własność i domagają się uznania niezależnego prawa do suwerenności władzy zdobytej na drodze podboju albo sukcesji. Wszędzie natrafiamy również na poddanych, którzy uznają to prawo księcia i przyjmują, że od urodzenia zobowiązani są do posłuszeństwa wobec konkretnego władcy, tak jak od urodzenia winni są rodzicom szacunek i mają wobec nich obowiązki. Związki te zawsze uważa się za jednakowo niezależne od naszej zgody – w Persji i w Chinach, we Francji i Hisz-

panii, a nawet w Holandii i w Anglii; wszędzie tam, gdzie nie wpajano z uporem powyższych doktryn. Posłuszeństwo czy poddaństwo stają się czymś tak oczywistym, że większość ludzi docieka ich początku albo przyczyny w stopniu nie większym niż w przypadku zasady grawitacji, oporu lub najbardziej powszechnych praw natury. Albo jeśli nawet powoduje nimi ciekawość, to gdy tylko się dowiadują, że oni sami oraz ich przodkowie od wielu wieków czy od niepamiętnych czasów są poddanymi takiego rządu czy takiej rodziny – natychmiast się z tym godzą i uznają swe zobowiązanie do lojalności. Gdybyście w większości krajów świata nauczali, że związki polityczne w pełni opierają się na dobrowolnej zgodzie czy wzajemnej obietnicy, sędzia wkrótce uwięziłby was, jako buntowników, za osłabianie więzów poddaństwa; o ile tylko za głoszenie podobnych nonsensów wasi przyjaciele nie zamknęliby was przedtem jako szaleńców. Osobliwe, że akt umysłu, co do którego zakłada się, że dokonała go każda jednostka po osiągnięciu dojrzałości pozwalającej czynić użytek z rozumu – gdyż w innym razie akt ten byłby nieważny – że taki, powiadam, akt, do tego stopnia byłby nieznanym wszystkim ludziom, że na powierzchni całej ziemi nie pozostałyby żadne jego ślady czy pamięć o nim.

Jednakże o umowie, na której opiera się rząd, twierdzi się, że jest to umowa społeczna, że zatem, jak można przypuszczać, jest ona zbyt stara, by stanowić przedmiot wiedzy obecnych pokoleń. Jeśli ma się tutaj na myśli umowę, mocą której dzicy po raz pierwszy zjednoczyli się i połączyli swoje siły, to można uznać, że jest ona czymś realnym; ponieważ jednak jest tak stara i zatarta przez tysiące zmian rządów i władców, nie można teraz przyjmować, że zachowuje jakąkolwiek moc. Jeżeli mamy jakoś wesprzeć powyższe, to musimy stwierdzić, że każdy konkretny rząd, który jest prawowity i który nakłada na poddanego obowiązek posłuszeństwa, został z początku ufundowany na porozumieniu i dobrowolnej umowie. Poza tym jednak, że to oznacza, iż zgoda ojców nawet do najdalszych pokoleń obowiązywać będzie również dzieci (na co nigdy nie zgodzą się pisarze republikańscy); poza tym, powiadam, nie jest ona potwierdzona ani przez historię, ani przez świadectwa – w żadnym kraju świata i w żadnej epoce.

Niemal wszystkie rządy, które istnieją obecnie albo o których istnieją świadectwa historyczne, z początku oparte były na uzurpacji czy podboju, bądź na obydwu, bez pozorów uczciwej umowy czy dobrowolnych ustępstw ludzi. Gdy przebiegły i zuchwały czło-

wiek umieszczony zostaje na czele armii czy fakkji, zwykle jest mu łatwo, czasem dzięki przemocy, czasem dzięki fałszywym pozorom, ustanowić swe panowanie nad ludźmi tysiąc razy liczniejszymi niż jego poplecznicy. Nie dopuszcza on jawnej komunikacji, dzięki której jego wrogowie mogliby poznać liczbę czy siłę jego i jego zwolenników. Człowiek ten nie daje im sposobności zgromadzenia się i stawienia mu czoła. Nawet ci wszyscy, którzy są narzędziami jego uzurpacji, mogą życzyć sobie jego upadku, jednak niewiedza każdego z nich co do intencji wszystkich pozostałych utrzymuje ich w strachu i jest jedynym źródłem jego bezpieczeństwa. Dzięki takim właśnie sposobom ustanowiono wiele rządów – i oto cała ta umowa społeczna, którą tak chwalą jej zwolennicy.

Oblicze ziemi ulega ciągłym zmianom; poprzez rozrastanie się małych królestw w wielkie imperia, przez rozpad wielkich imperiów w małe królestwa, przez zakładanie kolonii, migracje plemion. Czy w tych wszystkich wydarzeniach można dostrzec cokolwiek oprócz siły i przemocy? Gdzież jest wzajemne porozumienie czy dobrowolne stowarzyszenie, o których tyle się mówi?

Nawet najłagodniejszy sposób, dzięki któremu naród może otrzymać nowego władcę: przez małżeństwo albo na skutek woli, nie jest szczególnie zaszczytny dla poddanych, lecz zakłada, że można nimi dysponować, jak posagiem lub spadkiem, wedle przyjemności czy interesu ich władców.

A gdzie nie ingeruje żadna siła i ma miejsce elekcja – czymże jest owa tak bardzo wychwalana elekcja? Jest ona związkiem kilku wielkich panów, którzy decydują za wszystkich i nie dopuszczają żadnego sprzeciwu; albo jest szaleństwem motłochu, podążającego za buntowniczym hersztem, który, być może, jest znany ledwie paru tuzinom spośród nich i który swe wyniesienie zawdzięcza jedynie własnej zuchwałości bądź chwilowemu kaprysowi kompanów.

Czy owe chaotyczne elekcje, które również są rzadkością, mają tak wielkie znaczenie, że miałyby stanowić jedyną prawomocną podstawę wszelkiego rządu i lojalności?

W rzeczywistości nie istnieje wydarzenie straszliwsze niż całkowity rozkład rządu, dający wolność tłumom i sprawiający, że określenie czy wybór nowego systemu politycznego zależy od liczby ludzi, która niemal równa jest ogółowi wszystkich poddanych; nigdy bowiem nie jest z owym ogółem identyczna. Dlatego każdy mądry

człowiek życzy sobie ujrzeć na czele potężnej i karnej armii generała, który prędko może zdobyć znaczną pozycję i dać ludziom władzę, jakiego sami wybrać nie są w stanie. Oto w jak małym stopniu fakt i rzeczywistość odpowiadają owym filozoficznym wyobrażeniom.

Niechaj ustanowienie rządu w czasie Rewolucji nie zwiedzie nas i niech nie sprawi, że poddamy się urokowi filozoficznych początków rządu tak bardzo, że wszelkie inne uznamy za odrażające i nielegalne. Nawet temu wydarzeniu daleko było do tego, by odpowiadało owym subtelnym ideom. Tym bowiem, co uległo wówczas zmianie, była jedynie sukcesja, i to sukcesja w królewskiej części ustroju, i jedynie większość spośród 700 głosów zdecydowała o zmianie w imieniu niemal 10 milionów. Nie wątpię, że owa masa bez entuzjazmu przyjęła to postanowienie; ale czy sprawę tę choćby w najmniejszym stopniu pozostawiono jej decyzji? Czyż nie słusznie przyjęto, że decyzja zapadła i że od tej chwili ukarany będzie każdy, kto nie zechce się podporządkować nowemu suwerenowi? W jakim inny sposób sprawa mogłaby zostać doprowadzona do rozwiązania?

Republika ateńska była, jak sądzę, najpełniejszą demokracją, o jakiej czytamy w historii. A przecież jeśli weźmiemy pod uwagę kobiety, niewolników i obcych, stwierdzimy, że ani ustrój nie został ustanowiony, ani żadne prawo nie było kiedykolwiek przegłosowane choćby przez dziesiątą część tych, którzy zobowiązani byli do posłuszeństwa prawu i ustrojowi, nie wspominając już o wyspach i obcych posiadłościach, uważanych przez Ateńczyków za własne na mocy prawa podboju. A ponieważ dobrze wiadomo, że zgromadzenia ludowe w tym mieście zawsze cechował chaos i anarchia, mimo instytucji i praw, które je kontrolowały – o ileż więc bardziej muszą być one chaotyczne tam, gdzie nie są częścią ustalonego ustroju, lecz odbywają się wśród zgiełku, po rozwiązaniu starego rządu, aby dać początek nowemu? Jakże chimeryczne musi być mówienie o wyborze w takich okolicznościach?

Achajowie posiadali najbardziej wolną i najdoskonalszą demokrację całej starożytności, a przecież, jak czytamy u Polibiusza, używali oni siły, aby wymusić na niektórych miastach przystąpienie do ich Ligi.

Królowie angielscy, Henryk IV i Henryk VII, nie mieli tak naprawdę żadnego innego tytułu do władzy niż elekcja parlamentarna, a przecież nigdy nie sądzili, że to osłabia ich autorytet. Byłoby

osobliwością, gdyby jedyną prawdziwą podstawę wszelkiej władzy stanowiła zgoda i przyrzeczenie.

Daremne jest twierdzenie, że na początku wszelkie rządy są lub powinny być oparte na zgodzie powszechnej, na ile pozwoli na to konieczność spraw ludzkich. Coś takiego w pełni odpowiada moim ambicjom. Twierdzą jednak, że sprawy ludzkie nigdy nie pozwolą na takie porozumienie, rzadko – pozwolą na jego pozory; twierdzą też, że podbój lub uzurpacja, to jest, mówiąc po prostu (siła, po rozwiązaniu starego rządu daje początek niemal wszystkim nowym, jakie kiedykolwiek powołano. Twierdzą również, że w tych nielicznych przypadkach, gdy, jak mogłoby się wydawać, miało miejsce porozumienie, zwykle było ono tak nieformalne i ograniczone do tak wąskiego kręgu albo w takim stopniu towarzyszyły mu podstęp i przemoc – że nie mogło mieć większego znaczenia.

Moją intencją nie jest wykluczanie umowy jako jedynej sprawiedliwej podstawy rządu tam, gdzie ma ona miejsce. Z pewnością jest ona najlepszą i najbardziej prawowitą ze wszystkich takich podstaw. Twierdzą jedynie, że bardzo rzadko miała ona miejsce w jakimkolwiek stopniu, prawie nigdy zaś – w pełnym wymiarze; że zatem muszą być również do przyjęcia jakieś inne podstawy rządu. Gdyby wszyscy ludzie wykazywali tak niewzruszone poszanowanie sprawiedliwości, że sami z siebie w pełni powstrzymywali się od własności innych; na zawsze pozostaliby w stanie pełnej wolności, nie podlegając żadnemu sędziemu czy społeczności obywatelskiej. Jednakże jest to stan idealny, do którego, jak słusznie się twierdzi, natura ludzka nie jest zdolna się wznieść. Co więcej, gdyby wszyscy ludzie posiadali rozum tak doskonały, że zawsze rozumieliby własne korzyści, nie podlegaliby żadnej innej formie rządu poza tą, która ufundowana została na ugodzie i w pełni poparta przez każdego członka społeczeństwa. Jednakże taki ideał jest ludzkiej naturze równie niedostępny. Rozum, historia i doświadczenie uczą nas, że wszystkie społeczeństwa polityczne miały początek zdecydowanie mniej sympatyczny i harmonijny; i gdyby ktoś miał wybrać okres, kiedy zgoda ludzi uwzględniana była przy publicznych transakcjach w stopniu najmniejszym, to byłby to właśnie okres ustanawiania nowego rządu. Gdy istnieje określony ustrój, skłonności ludzi często bierze się pod uwagę, jednakże podczas gwałtów rewolucji, podbojów i społecznych przewrotów kontrowersje zwykle rozstrzyga siła militarna i polityczna zręczność.

Gdy, obojętnie jakimi środkami, ustanowiony zostanie nowy rząd, ludzie są przeważnie niezadowoleni i pozostają mu posłuszni bardziej ze strachu i z konieczności niż przez wzgląd na ideę lojalności czy moralnego zobowiązania. Książę jest czujny i zazdrosny, musi pilnie mieć się na baczności wobec każdego załóżka czy oznaki buntu. Czas stopniowo usuwa te trudności i przyzwyczajają naród do uznawania za prawowitych i naturalnych władców tej rodziny, którą na początku uważano za uzurpatorów czy najeźdźców. Poddani nie dysponują żadnym pojęciem dobrowolnej ugody czy przyrzeczenia, do których mogliby się odwołać, chcąc jakoś uzasadnić tę opinię, i które, o czym wiedzą, nigdy nie były w takim przypadku oczekiwane czy wymagane. Pierwotny ustrój powstał dzięki przemocy, a podporządkowano mu się z konieczności. Powstającą później administrację również wspiera siła, a ludzie godzą się na nią nie przez wybór, lecz zobowiązanie. Nie wyobrażają sobie, że ich zgoda daje tytuł księciu, lecz chętnie ją wyrażają, ponieważ uważają, że w wyniku długotrwałego posiadania książę zyskał ów tytuł niezależnie od ich wyboru.

Gdyby ktoś powiedział, że mieszkając na terytorium księcia, które można opuścić, każda jednostka dała milczące przyzwolenie na jego władzę i przyrzekła mu posłuszeństwo, to można na to odpowiedzieć, że taka niejawna zgoda może mieć miejsce tylko tam, gdzie człowiek wyobraża sobie, że coś zależy od jego wyboru. Tam jednak, gdzie sądzi on (tak jak wszyscy ludzie, którzy urodzili się pod ustanowionymi rządami), że przez fakt swego narodzenia winny jest posłuszeństwu określonemu księciu czy danej formie rządu, absurdem byłoby wnioskować o zgodzie czy wyborze, których w tym przypadku człowiek ów wyrzeka się i wypiera.

Czy możemy serio twierdzić, że ubogi wieśniak lub rzemieślnik ma możliwość opuszczenia kraju, skoro nie zna żadnego obcego języka ani obyczajów i żyje z dnia na dzień ze skromnych zarobków? Równie dobrze możemy twierdzić, że jakiś człowiek, przez fakt pozostania na statku, dobrowolnie godzi się z władzą kapitana, chociaż na pokład wniesiono go, gdy spał, i teraz, z chwilą opuszczenia statku, znalazłby się w oceanie.

A co jeśli książę zabrania poddanym opuszczać jego posiadłości, jak w czasach Tyberiusza, kiedy pewnego rzymskiego rycerza uznano za przestępcę za to, że chcąc uwolnić się od tyranii cesarza, pró-

bował uciec do Partów? Albo, jak miało to miejsce u dawnych Mo-skwan, gdy wszelkie podróże zabronione są pod karą śmierci? I gdyby książę zauważył, że wielu jego poddanych ogarnęło szaleństwo emigracji do obcych krajów, bez wątpienia – a byłoby to bardzo słuszne i uzasadnione – powstrzymałby ich, aby zapobiec wyludnieniu własnego królestwa. Czy wskutek tak mądrego i rozsądnego prawa utraciłby lojalność wszystkich poddanych? A przecież w tym przypadku ich wolność wyboru z pewnością jest im odebrana.

Grupa ludzi, którzy opuściliby swój kraj rodzinny, aby zamieszkać na jakimś bezludnym obszarze, mogłaby roić o odzyskaniu swej przyrodzonej wolności; wkrótce jednak przekonaliby się oni, że ich książę wciąż uważa się za ich pana i nazywa ich swymi poddanymi – nawet w ich nowej kolonii; co czyniąc postępowałby zgodnie z rozpowszechnionymi ideami ludzkości.

Tego rodzaju milcząca zgoda, najprawdziwsza, jaką kiedykolwiek można zaobserwować, ma miejsce wtedy, gdy cudzoziemiec osiedla się w jakimś kraju i zostaje zaznajomiony z władcą, ustrojem i prawami, którym musi się podporządkować. A przecież władca w mniejszym stopniu spodziewa się jego posłuszeństwa, mniej na nie liczy – choć jest ono dobrowolne – niż w przypadku swych rodowitych poddanych. Z kolei jego naturalny władca wciąż domaga się doń prawa. I jeśli nie karze renegata, gdy schwyta go na wojnie w szeregach jego nowego księcia, to łaskawość owa nie opiera się na prawie państwowym, które we wszystkich krajach karze więzienia, lecz na umowie władców, którzy zaakceptowali tę pobłażliwość, aby zapobiec odwetom.

Gdyby jedno pokolenie ludzi nagle zniknęło ze sceny i pojawiał się następne, jak w przypadku poczwerek i motyli, wówczas nowa rasa (gdyby tylko miała dość rozumu, aby wybrać własny rząd, co z pewnością nigdy nie zdarza się w przypadku ludzi) dobrowolnie i na mocy ogólnej umowy mogłaby powołać nową formę społeczeństwa obywatelskiego – bez oglądania się na prawa czy precedensy funkcjonujące wśród jej przodków. Ponieważ jednak ludzkie społeczeństwo podlega ciągłym zmianom – co godzinę ze świata schodzi jeden człowiek, a pojawia się inny – jest zatem konieczne w celu zapewnienia trwałości rządowi, aby nowa dziatwa przystosowała się do istniejącej konstytucji i wiernie kroczyła ścieżką, którą przetrarli jej ojcowie, idący w ślad za swoimi ojcami. Pewne innowacje z konieczności nastąpić muszą

w każdej z ludzkich instytucji i szczęśliwie się dzieje, jeśli światły geniusz wieku wprowadza je z korzyścią dla rozumu, wolności i sprawiedliwości. Lecz do innowacji zbyt śmiałych nie jest upoważniona żadna jednostka; równie niebezpieczne są one wówczas, gdy je podejmuje legislatura; zawsze też można się po nich spodziewać więcej złego niż dobrego. Jeśli zaś historia dostarcza przykładów na rzecz tezy przeciwnej, to nie należy przyznawać im pierwszeństwa. Trzeba je uznać za dowody faktu, że nauka polityki dopuszcza tylko nieliczne prawa, od których nie ma wyjątków i które nie podlegają od czasu do czasu władzy fortuny i przypadku. Śmiałe innowacje z okresu panowania Henryka VIII pochodziły od nieznoszącego sprzeciwu monarchy popieranego przez słabą legislaturę; te z czasów Karola I wynikały z ducha frakcyjnego fanatyzmu; rezultat jednych i drugich okazał się szczęśliwy, ale nawet te pierwsze długo były źródłem wielu niepokojów i jeszcze liczniejszych zagrożeń. Gdyby zaś miary posłuszeństwa miały być czerpane z tych ostatnich, w ludzkim społeczeństwie musiałyby zapanać kompletna anarchia, natychmiast też musiałby nastąpić koniec wszelkiego rządu.

Przypuśćmy, że uzurpator, wypędziwszy swego prawowitego władcę i rodzinę królewską, na 10 czy 12 lat ustanowiłby w jakimś kraju swoje panowanie, w swych oddziałach utrzymał dyscyplinę tak ścisłą, a w garnizonach postawę tak karną, że przeciw jego władzy nigdy nie podniesiono by żadnego buntu i nie usłyszano by żadnego szemrania. Czy można twierdzić, że ludzie, którzy w głębi serca nienawidzą jego zdrady, milcząc pogodzili się z jego władzą i przyrzekli mu posłuszeństwo jedynie dlatego, że z konieczności żyją pod jego zwierzchnictwem? Przypuśćmy ponadto, że ich naturalny książę odzyskuje władzę dzięki armii, którą zebrał w obcych krajach: poddani witają go w radosnym uniesieniu, jednoznacznie okazując, że niechętnie podporządkowali się byli innemu jarzmu. Można teraz zapytać, na jakiej podstawie opiera się tytuł owego księcia. Z pewnością nie na zgodzie ludu; bo chociaż ludzie chętnie godzą się z jego władzą, to jednak nie wyobrażają sobie, że owa zgoda uczyniła go suwerenem. Zgadza się, ponieważ uważają, że już na mocy urodzenia jest on ich prawowitym władcą. Co zaś się tyczy owej milczącej zgody, którą można teraz wyprowadzić z faktu zamieszkiwa-

nia przez poddanych dominium władcy, to nie jest ona niczym więcej niż tą, jakiej poprzednio udzielili tyranowi i uzurpatorowi.

Kiedy twierdzimy, że każdy prawowity rząd jest skutkiem zgody ludzi, czynimy im znacznie większe honory niż te, na które zasługują czy których oczekują i pragną. Gdy rządzenie posiadłościami republiki rzymskiej stało się zbyt trudne, mieszkańcy całego znanego świata byli niezmiernie wdzięczni Augustowi za ową władzę, którą ustanowił nad nimi za pomocą siły; wykazali też równą skłonność do podporządkowania się następcy, którego August wyznaczył im w testamencie mocą swej ostatniej woli. Później ich przekleństwem było to, że w żadnej rodzinie panującej nie istniała długa, nieprzerwana sukcesja, lecz linia ich władców wciąż ulegała przerwaniu, czy to wskutek skrytobójstwa, czy publicznego buntu. Na nieszczęście każdej rodziny, oddziały pretorianów ogłaszały jednego cesarza, legiony na Wschodzie – drugiego, te w Germanii – trzeciego. I tylko miecz mógł położyć kres sporowi. Sytuacja mieszkańców owego potężnego królestwa była godna ubolewania nie dlatego, że nigdy nie dano im możliwości wyboru imperatora – gdyż było to niewykonalne – ale dlatego, że nigdy nie mieli oni sukcesji panów, w której każdy następowałby po swym poprzedniku. Co się tyczy przemocy, wojny i rozlewu krwi, wywoływanych przez każdą nową zmianę, to nikt ich nie potępiał, gdyż były nieuniknione.

Dynastia Lancasterów panowała na tej wyspie przez około 60 lat, a przecież zdawało się, że codziennie przybywa w Anglii zwolenników Białej Róży. Obecny system trwa jeszcze dłużej. Czy wszystkie roszczenia innej rodziny do tronu zupełnie wygasły, nawet jeśli mało który z żyjących dziś ludzi osiągnął dojrzałość, gdy rodzina owa była wypędzona, albo mógł wyrazić zgodę na jej panowanie bądź przyrzekł jej posłuszeństwo? Z pewnością jest to wystarczający przejaw bardziej ogólnej skłonności ludzi. Albowiem nie obwiniamy zwolenników rodziny, która abdykowała jedynie z racji długiego okresu, w jakim zachowywali oni swą wyimaginowaną lojalność. Obwiniamy ich o sprzyjanie rodzinie, która, co podkreślamy, została wygnana sprawiedliwie i która z chwilą nowej intronizacji utraciła tytuł do władzy.

Gdybyśmy jednak mieli przedstawić bardziej systematyczną, a przynajmniej bardziej filozoficzną refutację owej doktryny pierwotnego kontraktu czy zgody ludzi, być może wystarczyłyby następujące uwagi.

Wszystkie obowiązki moralne podzielić można na dwa rodzaje. Pierwszym są te, do których skłania ludzi naturalny instynkt lub nieodparty popęd, któremu podlegają niezależnie od idei zobowiązania i wszelkich poglądów i który przynosi korzyść społeczną lub jednostkową. Taka jest natura miłości do potomstwa, wdzięczności dla dobroczyńców, litości dla nieszczęśliwych. Gdy zastanawiamy się nad korzyścią, którą dzięki tak humanitarnym instynktom odnosi społeczeństwo, słusznie składamy im daninę moralnej aprobaty i szacunku – jednak osoba nimi powodowana odczuwa ich potęgę i wpływ wcześniej od wszelkiej takiej refleksji.

Drugi rodzaj obowiązków moralnych to takie obowiązki, do których nie popycha żaden pierwotny naturalny instynkt, lecz które wypełniamy wyłącznie z poczucia obowiązku, kiedy zastanowimy się nad potrzebami ludzkiego społeczeństwa i niemożliwością wspierania go, gdyby obowiązki te zaniedbano. W taki właśnie sposób sprawiedliwość czy respektowanie własności innych, wierność albo dotrzymywanie przyrzeczeń stają się wiążące i zyskują władzę nad ludźmi. Ponieważ jest oczywiste, że każdy człowiek kocha samego siebie bardziej niż kogokolwiek innego – jest on z natury skłonny rozszerzać swą własność tak dalece, jak to możliwe; tej jego skłonności nie powściągnie nic prócz refleksji i doświadczenia, dzięki którym poznaje on niebezpieczne skutki takiego przyzwolenia oraz zupełnego rozpadu społeczeństwa, który musi być tego następstwem. Dlatego jego pierwotna skłonność czy instynkt zostaje tutaj powstrzymana przez późniejszy osąd czy obserwację.

Z politycznym czy obywatelskim obowiązkiem posłuszeństwa rzecz ma się dokładnie tak samo jak z naturalnymi obowiązkami sprawiedliwości i spełniania przyrzeczeń. Nasze pierwotne instynkty skłaniają nas do folgowania własnej nieograniczonej wolności albo do szukania władzy nad innymi. I tylko refleksja sprawia, że wyrzekamy się tak silnych namiętności dla pokoju i porządku społecznego. Niewiele doświadczenia i obserwacji wystarczy, aby przekonać nas, że społeczeństwo nie może istnieć bez władzy sędziów i że owa władza wkrótce musi znaleźć się w pogardzie wszędzie tam, gdzie nie okazuje się jej pełnego posłuszeństwa. Dostrzeżenie tych ogólnych i oczywistych korzyści jest źródłem lojalności i tego moralnego zobowiązania, które jej przypisujemy.

Mocą jakiej więc konieczności należy fundować obowiązek lojalności czy posłuszeństwa sędziom na obowiązku wierności czy dotrzymywania przyrzeczeń oraz przyjmować, że tym, co podporządkowuje rządowi każdą jednostkę, jest jej zgoda? Kiedyż to okazuje się, że zarówno posłuszeństwo, jak i obietnica wypełniania przyrzeczeń opierają się na dokładnie tej samej podstawie i obie uznawane są przez ludzkość z powodu oczywistych korzyści oraz potrzeb społeczeństwa? Zobowiązani jesteśmy, powiada się, słuchać suwerena, ponieważ złożyliśmy milczącą obietnicę. Dlaczego jednak mamy naszej obietnicy dotrzymywać? Tu stwierdzić należy, że handel i stosunki międzyludzkie, źródła tak wielkich korzyści, nie mogą mieć mocy wiążącej wszędzie tam, gdzie ludzie nie przywiązują wagi do swych przyrzeczeń. W podobny sposób, można by powiedzieć, ludzie w ogóle nie mogą żyć w społeczeństwie, zwłaszcza w społeczeństwie obywatelskim, bez istnienia praw, urzędników i sędziów, zdolnych zapobiec przemocy silnego wobec słabego albo przemocy gwałtownego wobec sprawiedliwego i uczciwego. Ponieważ zobowiązanie do posłuszeństwa ma taką samą moc i władzę jak obietnica wypełniania przyrzeczeń, niczego nie osiągamy, sprowadzając jedno do drugiego. Interes ogólny czy potrzeby społeczeństwa są wystarczające dla ustanowienia obydwu.

Gdyby zapytano o rację tego posłuszeństwa, które winni jesteśmy rządowi, natychmiast odpowiadam: ponieważ bez niego nie może istnieć społeczeństwo. I odpowiedź ta jest jasna i zrozumiała dla wszystkich ludzi. Wasza odpowiedź brzmi: ponieważ powinniśmy dotrzymywać danego słowa. Ale poza tym, że nikt, kto nie jest wyćwiczony w filozofii, nie zrozumie ani nie zadowoli się taką odpowiedzią, poza tym, powiadam, znajdziecie się w kłopotliwej sytuacji, gdy was zapytają: dlaczego mamy obowiązek dotrzymywać danego słowa? Nie można wtedy udzielić żadnej innej odpowiedzi niż ta, która będąc błędnym kołem, obowiązek ów tłumaczyłaby posłuszeństwem.

Ale komu właściwie należy się posłuszeństwo? I kto jest naszym prawowitym suwerenem? Pytanie to często jest najtrudniejsze ze wszystkich i rodzi niekończące się dyskusje. Gdy ludzie mają to szczęście, że mogą odpowiedzieć: nasz obecny suweren, który dziedziczy bezpośrednio po przodkach, rządzących nami przez wiele wieków, odpowiedź taka nie wymaga repliki, nawet jeśli history-

cy, śledząc genezę owej rodziny królewskiej aż do najwcześniejszych początków, stwierdzają, jak to się zwykle zdarza, że z początku jej władza pochodziła z uzurpacji i przemocy. Uznaje się, że prywatna sprawiedliwość albo respektowanie cudzej własności jest najważniejszą z cnót; a przecież rozum mówi nam, że w obiektach materialnych, takich jak grunty czy domy, gdy skrupulatnie przeanalizujemy ich przechodzenie z rąk do rąk, nie istnieje cecha „bycia własnością”, która z konieczności nie zostałaby w pewnym momencie ufundowana na oszustwie i niesprawiedliwości. Potrzeby ludzkiego społeczeństwa, ani w prywatnym, ani w publicznym życiu, nie pozwolą na tak dokładną analizę: nie istnieje też żadna cnota czy moralny obowiązek, którego nie można by z łatwością odrzucić, gdybyśmy pofolgowali fałszywej filozofii, badając go i analizując przy użyciu wszelkich podstępnych praw logiki – w każdym świetle i położeniu, w jakim można by go umieścić.

Kwestie odnoszące się do własności prywatnej wypełniają niezliczone tomy dzieł prawniczych i filozoficznych – jeśli w jednych i drugich dodamy komentarze do tekstu oryginalnego, możemy też bezpiecznie stwierdzić, że wiele spośród zasad w nich sformułowanych to zasady niepewne, niejednoznaczne i arbitralne. Podobną opinię wygłosić można w odniesieniu do sukcesji i praw władców oraz form rządu. Istnieje bez wątpienia kilka przypadków, zwłaszcza w początkach istnienia konstytucji, które nie dopuszczają rozstrzygnięć sprawiedliwych i słuszných praw: nasz historyk, Rapin, twierdzi, że spór między Edwardem III a Filipem de Valois był tego właśnie rodzaju i że można go było rozstrzygnąć jedynie, odwołując się do niebios – to znaczy poprzez wojnę i przemoc.

Któż mi powie, który z nich: Germanik czy Druzus powinien dziedziczyć po Tyberiuszu, gdyby ten zmarł, nie wyznaczwszy żadnego z nich na swego następcę? Czy prawo adopcji należałoby uznać za ekwiwalent prawa krwi w narodzie, w którym miało ono ten sam skutek w rodzinach prywatnych i w którym już w dwóch przypadkach wcielono je w życie w sferze publicznej? Czy Germanik powinien być zostać uznany za starszego syna, ponieważ urodził się przed Druzusem; czy może za młodszego, ponieważ adoptowany został po narodzinach swego brata? Czy prawo starszego brata do ojcowizny powinno być uznawane w narodzie, w którym brat ów nie był uprzywilejowany w związku ze spadkiem w rodzinach

prywatnych? Czy z racji tych dwóch przypadków imperium rzymskie należało w owym czasie uznać za przedmiot dziedziczenia? Czy może nawet tak wcześnie należało przyjąć, że jako państwo ufundowane na uzurpacji tak świeżej daty, należy ono do silniejszego albo do obecnego posiadacza?

Kommodus zasiadł na tronie po bardzo długiej sukcesji znakomitych cesarzy, którzy tytuł swój zawdzięczali nie urodzeniu czy publicznej elekcji, lecz fikcyjnemu prawu adopcji. Gdy ten krwawy rozpustnik został zamordowany w wyniku spisku nieoczekiwanie zawiązanego przez jego nałożnicę i jej kochanka, który akurat był w owym czasie prefektem pretorianów, mordercy niezwłocznie postanowili wybrać nowego władcę rodzaju ludzkiego – by użyć stylu owych epok – a ich wzrok padł na Pertinaksa. Zanim dowiedziano się o śmierci tyrana, prefekt udał się w sekrecie do owego senatora, który na widok żołnierzy pomyślał, że Kommodus kazał go zgładzić. Oficer i jego orszak natychmiast okrzyknęli go cesarzem, lud powitał go z radością, straż podporządkowała mu się z niechęcią, formalnie uznał go senat, biernie zaś przyjęły go prowincje i armie imperium.

Niezadowolenie oddziałów pretoriańskich wkrótce przerodziło się w bunt, w wyniku którego ten znakomity władca został zamordowany. A ponieważ świat był teraz pozbawiony władcy i rządu, straż przyboczna uznała za właściwe formalnie wystawić imperium na sprzedaż. Juliana, nabywcę, władcą ogłosili żołnierze, uznał go senat, lud zaś mu się podporządkował; musiały mu się podporządkować również prowincje, jeśli zawiść legionów nie miała zrodzić opozycji i oporu. W Syrii imperatorem ogłosił się Pescenniusz Niger; z entuzjazmem został on przyjęty przez armię, miał też ciche poparcie senatu i rzymskiego ludu. W Brytanii Albinus znalazł równie dobre prawo do zgłaszania swych roszczeń, jednak Sewer, który rządził Pannonią, w końcu pokonał ich obu. Ten uzdolniony polityk i wojownik, stwierdziwszy, że jego własny ród i godność są o wiele za niskie jak na cesarski wieniec, z początku wyraził zamiar pomszczenia śmierci Pertinaxa. Będąc generałem, wkroczył do Italii i pokonał Juliana; nie dostrzegamy, aby żołnierze dawali mu jakieś przyzwolenie: senat i lud zmuszone były uznać go za cesarza, a pełnię swej surowej władzy ustanowił Sewer, podporządkowując sobie Nigera i Albinusa. *Inter haec Gordianus Caesar* (powiada Kapitolinus, mówiąc o innym okresie) *sublatus a militibus*.

Imperator est apellatus quia non erat alius in praesenti. Należy wspomnieć, że Gordian był chłopcem czternastoletnim.

Przypadki podobnej natury częste były w historii cesarzy, następców Aleksandra, oraz w dziejach wielu innych krajów; trudno też o większe nieszczęście niż tego rodzaju rząd despotyczny, w którym sukcesja jest przerywana i nieregularna i przy każdym wakan-sie musi być ustalana za pomocą siły lub elekcji. W wolnym ustroju sytuacja ta często jest nieunikniona, jest również znacznie mniej niebezpieczna. Względ na wolność często może skłaniać ludzi, by we własnej obronie zmienili sukcesję korony. Konstytucja zaś, ponieważ składa się z części, nadal może zachowywać wystarczającą równowagę, opierając się na swych elementach arystokratycznych lub demokratycznych, choćby nawet element monarchiczny od czasu do czasu podlegał zmianie w celu dostosowania go do tamtych.

W rządzie absolutnym, w którym nie ma prawowitego władcy, mającego tytuł do tronu, bezpiecznie można ustalić, że tron należy do pierwszego okupanta. Tego rodzaju przypadki są aż nazbyt częste, zwłaszcza w monarchiach wschodnich. Gdy wygasa jakiś ród władców, za tytuł uważana będzie wola ostatniego suwerena. Dla tego edykt Ludwika XIV, który nazwał bękartami wszystkich książęcych pretendentów do tronu, w przypadku niepowodzenia wszystkich prawowitych pretendentów miałby w takiej sytuacji pewne znaczenie.¹ W ten sposób wola Karola II zadysponowała całą mo-

¹ Jest rzeczą godną uwagi, że książę z dynastii Burbonów oraz prawowici książęta, w proteście przeciw temu zarządzeniu Ludwika XIV, kładą nacisk na doktrynę pierwotnej umowy – nawet w przypadku ustroju absolutnego. Naród francuski, powiadają, wybrał Hugona Capeta i jego potomstwo na władców panujących nad owym narodem i jego potomstwem – tam więc, gdzie kończy się owa dynastia, pojawia się milczące prawo wyboru nowej rodziny królewskiej; prawo to zostaje naruszone przez nazwanie książęcych pretendentów do tronu bękartami, bez zgody narodu. Jednakże hrabia Boulainvilliers, pisząc obronę książąt-bękartów, ośmiesza pojęcie pierwotnej umowy, zwłaszcza w odniesieniu do Hugona Capeta, który wstąpił na tron, powiada ów hrabia, chwytając się tych samych sposobów, jakie zawsze stosowali wszyscy zdobywcy i uzurpatorzy. W istocie stany uznały jego tytuł, gdy już ustanowił siebie posiadaczem. Czy jednak jest to wybór albo umowa? Hrabia Boulainvilliers, możemy dodać, był wybitnym republikaninem; będąc wszelako człowiekiem uczonym i bardzo biegłym w historii, wiedział, że prawie nigdy nie radzono się ludzi w czasie owych przewrotów i powoływania nowych rządów i że jedynie czas czynił prawowitym i autorytatywnym to, co zazwyczaj ufundowane było najpierw na sile i przemocy.

narchią hiszpańską. Wygaśnięcie prawa dawnego właściciela, zwłaszcza w połączeniu z podbojem, tak samo uważane jest za dobry tytuł do władzy. Zobowiązaniem ogólnym, które wiąże nas z rządem, jest korzyść i potrzeby społeczeństwa; zobowiązanie to jest bardzo silne. Łączenie go z tym czy innym konkretnym władcą albo formą rządu często jest bardziej niepewne i wątpliwe. Posiadanie aktualne ma w tych przypadkach duże znaczenie; większe niż w przypadku własności prywatnej, a to z powodu niepokojów towarzyszących wszelkim przewrotom i zmianom rządu.

Zanim zakończymy, stwierdzimy tylko, że chociaż w spekulatywnej metafizyce, filozofii naturalnej czy astronomii odwołanie się do opinii ogółu słusznie może zostać uznane za bezpodstawne i niekonkluzywne, to jednak we wszelkich kwestiach związanych z moralnością, jak również w krytyce, nie istnieje w istocie żaden inny standard, dzięki któremu można by rozstrzygnąć jakąkolwiek kontrowersję. Nic też nie może być lepszym dowodem błędności tego rodzaju teorii niż stwierdzenie, że prowadzi ona do paradoksów i sprzeczności z powszechnymi odczuciami ludzi oraz z praktyką i opinią wszystkich narodów i epok. Doktryna, która wszelki prawowity rząd funduje na pierwotnym kontrakcie czy zgodzie ludzi, jest w oczywisty sposób doktryną tego rodzaju żaden też z jej najwybitniejszych zwolenników nie waha się w jej obronie twierdzić, że monarchia absolutna jest nie do pogodzenia ze społeczeństwem obywatelskim, przez co w ogóle nie może być formą rządu obywatelskiego, i że najwyższa władza w państwie nikomu nie może zabrać, przez podatki i nakazy, żadnej części jego własności bez zgody jego samego albo jego reprezentantów. Łatwo stwierdzić, jaką moc wiążącą może mieć rozumowanie moralne, które prowadzi do podobnych opinii na temat tak rozpowszechnionych ogólnych praktyk ludzkości, stosowanych wszędzie z wyjątkiem tego królestwa.

Jedyny fragment, z jakim zetknąłem się w pismach starożytnych, w którym zobowiązanie do posłuszeństwa wobec rządu przypisuje się obietnicy, znajduje się w Platonskim *Kratylosie*, gdzie Sokrates odrzuca propozycję ucieczki z więzienia, ponieważ złożył milczącą obietnicę przestrzegania praw. W ten sposób wyprowadza torysowski wniosek, mówiący o biernym posłuszeństwie, z wigowskiej przesłanki mówiącej o pierwotnym kontrakcie.

W sprawach tych nie należy się spodziewać nowych odkryć. Jeśli do niedawna mało kto kiedykolwiek wyobrażał sobie, że rząd

opiera się na zgodzie, to pewne jest, że w ogóle nie może on mieć takiej podstawy.

Zbrodnię buntu starożytni określali na ogół terminami: *neoteridzein*, *novas res moliri*.

O początkach rządu

Człowiek, który przychodzi na świat w rodzinie, zmuszony jest do podtrzymywania społeczeństwa z konieczności, przez naturalną skłonność i z nawyku. Ta sama istota w dalszym swym rozwoju zaangażowana jest w tworzenie społeczności politycznej – niezbędnej, by egzekwować sprawiedliwość, bez której między ludźmi nie może istnieć pokój, bezpieczeństwo i wzajemne stosunki. Należy zatem uznać, że cały ten rozległy aparat naszego rządu w ostateczności nie ma na celu niczego innego, jak tylko dystrybucję sprawiedliwości, czy też – innymi słowy – wspieranie dwunastu sędziów. Królowie i parlamenty, flota i armia, urzędnicy dworu czy skarbu, ministrowie i tajni radcy – cele wszystkich tych ludzi podporządkowane są właśnie tej części administracji. Nawet kler, ponieważ jego obowiązkiem jest krzewienie moralności, zasadnie pojmować można, przynajmniej w odniesieniu do spraw tego świata, jako instytucję, która nie posiada żadnego innego użytecznego celu.

Wszyscy ludzie zdają sobie sprawę z tego, że sprawiedliwość jest konieczna dla zachowania pokoju i porządku; wszyscy ludzie świadomi są również faktu, że pokój i porządek konieczne są dla istnienia społeczeństwa. A przecież wbrew owej jakże oczywistej, nieodpartej konieczności, tak wielka jest słabość i zepsucie naszej natury, że niepodobna sprawić, by człowiek niezłomnie i niezawodnie kroczył po ścieżkach sprawiedliwości. Mogą zajść wyjątkowe okoliczności, w których jednostka uzna, że oszustwo i grabież w większym stopniu służy jej interesom, aniżeli szkodzi im naruszenie zasad wspólnoty politycznej, dokonujące się przez taki akt niesprawiedliwości. Znacznie jednak częściej od wielkich i doniosłych, lecz odległych korzyści odwodzą człowieka powaby teraźniej-

szych, choć często bardzo błahych pokus. Ta wielka słabość naszej natury jest nieuleczalna.

Ludzie muszą zatem próbować łagodzić to, czego nie sposób wyliczyć. Muszą powołać konkretne osoby, określane mianem sędziów, których zadaniem jest ustanawianie zasad sprawiedliwości, karanie napastników, wymierzanie kar za oszustwa i przemoc, jak również zmuszanie ludzi, choćby najbardziej opornych, do tego, by mieli na uwadze swoje rzeczywiste i trwałe interesy. Jednym słowem, posłuszeństwo jest nowym obowiązkiem, który trzeba wynaleźć celem wsparcia sprawiedliwości, a więzy praworządności muszą zostać potwierdzone przez więzy lojalności.

Wciąż jednak, rozpatrując sprawy w sposób abstrakcyjny, można by sądzić, że poprzez ten sojusz niczego się nie wskóra i że sztuczny obowiązek posłuszeństwa z samej swej natury ma nad ludzkim umysłem władzę równie znikomą jak pierwotny i naturalny obowiązek sprawiedliwości; że konkretne korzyści i doraźne pokusy mogą wziąć górę zarówno nad pierwszym, jak i drugim; i że oba te obowiązki w równym stopniu narażone są na szwank. A człowiek, który jest raczej złym sąsiadem, zawsze musi się kierować – w dobrej czy złej wierze – tymi samymi motywami, będąc równie złym obywatelem i poddanym. Nie wspominając już o tym, że sam sędzia często może być niedbały, stronniczy czy niesprawiedliwy.

A jednak doświadczenie wykazuje, że między tymi dwoma przypadkami zachodzi wielka różnica. Przekonujemy się, że rząd utrzymuje porządek publiczny o wiele skuteczniej, a zasady naszej natury znacznie ściślej strzegą naszego zobowiązania wobec sędziego niż wobec współobywateli. Miłość własności tkwi w sercu człowieka tak mocno, że wielu nie tylko jej ulega, lecz naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa i znosi trudy oraz dozór rządu. Ludzie, raz wzniosłszy się do tego stanu, choć często dają się zwieść egoistycznym namietnościami, zazwyczaj potrafią uchwycić wyraźną korzyść płynącą z bezstronnego wymierzania sprawiedliwości. Ci, którzy jako pierwsi zdobywają ową rangę sędziów w wyniku milczącej czy wyartykułowanej zgody ludzi, muszą być obdarzeni wyższymi, osobistymi cnotami męstwa, siły, prawości czy roztropności, które wzbudzają respekt i zaufanie. Gdy zaś rząd zostanie już utworzony, wówczas względ na urodzenie, pozycję społeczną oraz stanowisko ma na ludzi ogromny wpływ i wspiera rozporządzenia sędziego. Książę lub

przywódca występuje przeciwko wszelkim zamieszkom, naruszającym porządek jego społeczności. Nawołuje wszystkich swych zwolenników i wszystkich ludzi uczciwych, aby pomogli mu przywrócić porządek; skwapliwie idą za nim nawet ci, którzy nie mają nic wspólnego z jego urzędem. Wkrótce książę zdobywa sobie władzę wynagradzania za taką służbę i w toku rozwoju społeczeństwa ustanawia podległych mu ministrów, a często również siły zbrojne, którzy to ludzie w popieraniu jego władzy wyraźnie dostrzegają własną doraźną korzyść. Wkrótce nawyk utrwała to, co w sposób niedoskonały zainicjowały inne zasady natury ludzkiej, a ludzie, raz przyzwyczajeni do posłuszeństwa, nigdy już nie myślą o porzuceniu tej ścieżki, wydeptanej przez nich samych i przez ich przodków; ścieżki, na której trzyma ich tyle oczywistych, naglających pobudek.

Ale chociaż taki rozwój ludzkich spraw może się wydać oczywisty i nieunikniony i choć wsparcie, jakiego lojalność udziela sprawiedliwości, ufundowane jest na oczywistych zasadach natury ludzkiej, nie można jednak oczekiwać, że ludzie będą w stanie rozwój ów odkryć, zanim on nastąpi, czy przewidzieć z góry jego konsekwencje. Rząd rozwija się w sposób bardziej przypadkowy i bardziej niedoskonały. Jest prawdopodobne, że wyniesienie jednostki ponad tłum po raz pierwszy miało miejsce w czasie wojny, kiedy to wyższość pod względem odwagi i geniuszu objawia się najwyraźniej, kiedy jednomyślność i porozumienie są najbardziej pożądane, a złowrogie skutki zamętu – najdotkliwiej odczuwalne. Długie trwanie takiego stanu, sytuacja powszechna między dzikimi plemionami, przyzwyczajało ludzi do posłuszeństwa; a gdy wódz miał tyle samo wyczucia sprawiedliwości, co roztropności i męstwa, wówczas nawet w czasie pokoju stawał się sędzią we wszelkich sporach, a stopniowo mógł też, korzystając z własnej siły i cudzego przyzwolenia, ustanowić swą władzę. Wyraźnie odczuwalna korzyść płynąca z jego władzy zjednywała mu wsparcie poddanych, przynajmniej tych pokojowo usposobionych i przychylnych władzy, i jeśli te same przymioty miał jego syn, tym prędzej rząd osiągał wówczas dojrzałość i doskonałość. Wciąż jednak zbywało mu na sprawności, dopóki w dalszym procesie rozwoju nie zostawał powołany urzędnik od spraw podatków, upoważniony do wynagradzania podległych sobie organów, a także do nakładania kar na opornych i nieposłusznych. Przed nastaniem tego okresu każda

ingerencja księcia była okazjonalna i uzależniona od konkretnych okoliczności każdej sprawy. Później jednak posłuszeństwo nie było już kwestią wyboru jednostki; rygorystycznie egzekwowała je władza najwyższego sędziego.

We wszystkich rządach toczy się odwieczna, wewnętrzna walka – jawna lub ukryta – pomiędzy Władzą a Wolnością i żadna ze stron nigdy nie może ostatecznie zatryumfować w tych zmaganiach. Pod każdym panowaniem nieuniknione jest wyrzeczenie się dużej części wolności; a przecież nawet władza, która wolność ogranicza, nigdy nie jest w stanie, i być może, bez względu na ustrój, nigdy nie powinna, stać się władzą nieograniczoną i nie podlegającą kontroli. Sułtan turecki jest panem życia i majątku każdego ze swych poddanych, jednak nie wolno mu wprowadzić nowych podatków; król Francji może wprowadzać podatków do woli, jednak nie odważyłby się nastawiać na życie i majątek jednostek. Także religia w większości krajów zazwyczaj uważana jest za element bardzo niesforny, a również innego rodzaju przesady z reguły opierają się autorytetowi sędziego, którego zwierzchność, zasadzając się na przekonaniach, nigdy nie jest w stanie obalić innych przekonań, zakorzenionych równie głęboko, jak to stanowiące jego tytuł do panowania. Rząd, który wedle powszechnych wyobrażeń określa się mianem wolnego, to rząd który dopuszczający podział władzy pomiędzy kilku swych członków, których łączna władza jest zazwyczaj większa niż władza jakiegokolwiek monarchy, lecz którzy w normalnym trybie sprawowania rządów muszą postępować zgodnie z ogólnymi i równymi prawami, uprzednio znanymi im wszystkim oraz poddanym rządu. W tym sensie należy uznać, że wolność jest doskonałością społeczeństwa obywatelskiego, choć nadal należy pojmować władzę jako niezbędną dla istnienia takiego społeczeństwa. Dlatego w sporach, które tak często toczą się między obiema instancjami, to jest wolnością i władzą, ta ostatnia występuje w roszczeniach do pierwszeństwa. Chyba że ktoś skłonny byłby twierdzić (a może to uczynić nie bez pewnych racji), że okoliczność, która jest niezbędną dla istnienia społeczeństwa obywatelskiego, z konieczności podtrzymuje samą siebie i że można o nią dbać mniej pilnie niż o to, co przyczynia się do doskonałości społeczeństwa, a co opieszałość ludzi i niewiedza skłonna jest zaniedbać i zlekceważyć.

O pierwszych zasadach rządu

Tym, którzy sprawom ludzkim przyglądają się okiem filozoficznym, nic nie wydaje się bardziej zdumiewające niż łatwość, z jaką wieloma rządzą nieliczni, oraz milcząca uległość, z jaką ludzie wyrzekają się własnych sentymentów i namiętności na rzecz sentymentów i namiętności swoich władców. Kiedy zbadamy, za pomocą jakich to środków osiągnięty zostaje ów cud, przekonamy się, że ponieważ siła jest zawsze po stronie rządzonych, zatem rządzących popierać może jedynie opinia. A zatem wyłącznie na opinii opiera się rząd; i zasada owa dotyczy ustrojów najbardziej despotycznych i zmilitaryzowanych, tak samo jak ustrojów wolnych i ludowych. Sułtan Egiptu czy cesarz Rzymu może zwrócić swych poddanych, niczym dzikie bestie, przeciwko ich własnym uczuciom i skłonnościom, ale przynajmniej swych mameluków czy oddziały pretorian musi prowadzić jak ludzi, odwołując się do ich opinii.

Istnieją dwa rodzaje opinii, a mianowicie opinia oparta na korzyści oraz opinia oparta na prawie. Przez opinię opartą na korzyści rozumiem przede wszystkim ogólne korzyści płynące z istnienia rządu, łącznie z przekonaniem, że konkretny rząd, który został już ustanowiony, jest równie korzystny jak każdy inny, który łatwo można ustanowić. Gdy opinia ta zapanuje wśród większości obywateli państwa albo wśród tych, w rękach których znajduje się władza, oznacza to dla każdego rządu pełne bezpieczeństwo.

Istnieją dwa rodzaje praw: prawo do władzy i prawo do własności. Jaką władzę nad ludzkością ma opinia pierwszego rodzaju – łatwo zrozumieć, obserwując przywiązanie, którym wszyscy darzą swe starożytne rządy czy choćby te nazwiska, które usankcjonowane są starożytnym pochodzeniem. To, co starożytne, zawsze ma opinię słusznego, i bez względu na to, jak negatywne uczucia żylibyśmy wobec ludzi, przekonujemy się, że nigdy nie szczędzą oni krwi i skarbów, byle tylko podtrzymać publiczną sprawiedliwość. W istocie nie istnieje żadna inna osobliwość, poprzez którą, na pierwszy rzut oka, mogłaby się objawić większa sprzeczność w budowie ludzkiego umysłu. Kiedy ludzie działają w obrębie faksji, skłonni są, bez uczucia wstydu czy wyrzutów sumienia, pominąć wszelkie więzy honoru i moralności, aby przysłużyć się własnej partii; a przecież kiedy faksja utworzona jest w oparciu o poszano-

wanie prawa czy zasad, trudno o przykład większej niż wówczas wytrwałości i bardziej zdecydowanego wyczucia sprawiedliwości i słuszności. To samo społeczne usposobienie ludzi jest przyczyną owych zjawisk.

Z dostatecznym zrozumieniem spotyka się fakt, że opinia dotycząca prawa własności jest bardzo doniosła we wszelkich kwestiach ustrojowych. Znakomity autor uczynił własność podstawą wszelkiego rządu, większość zaś naszych pisarzy politycznych zdaje się być skłonna do przyznania mu w tym punkcie racji. Autorzy ci idą za daleko; trzeba jednak przyznać, że opinia co do prawa własności ma w tej kwestii wielkie znaczenie.

Na takich zatem trzech opiniach: o interesie publicznym, prawie do władzy i prawie do własności, oparte są wszelkie rządy i wszelka władza nielicznych nad wieloma. W istocie istnieją też inne zasady, które wzmacniają powyższe oraz determinują, ograniczają i przekształcają działanie tamtych; są to: własna korzyść, strach i afekt. Wciąż jednak możemy twierdzić, że te ostatnie zasady same z siebie nie mogą mieć żadnego wpływu, lecz zakładają uprzedni wpływ owych na początku wymienionych opinii. Dlatego uznaje się je za wtórne, a nie za początkowe zasady rządu.

Albowiem, po pierwsze, co się tyczy własnej korzyści, którą pojmuję jako oczekiwanie konkretnych zysków, różnych od ogólnej ochrony zapewnianej przez rząd, to jest oczywiste, że aby wytworzyć takie oczekiwanie, już wcześniej ustanowiona być musi władza sędziowska, a przynajmniej muszą istnieć nadzieje na jej powstanie. Widoki na konkretne korzyści mogą tę władzę powiększyć w odniesieniu do poszczególnych osób; nigdy jednak nie mogą być jej źródłem w odniesieniu do społeczeństwa. Ludzie z natury rzeczy oczekują życzliwości ze strony swych przyjaciół i znajomych; i dlatego nadzieje jakiejś większej liczby obywateli nigdy nie będą się wiązać z konkretną grupą osób, jeśli osoby te wcześniej nie miały żadnego innego tytułu do władzy sędziowskiej czy też wpływu na opinie ludzi. Tę samą obserwację rozszerzyć można na pozostałe zasady: strach i afekt. Żaden człowiek nie miałby powodu, by obawiać się tyrańcy, gdyby ów tyran nie miał nad ludźmi władzy innej niż oparta na strachu, gdyż ten jako jednostka niewiele mógłby zdziałać swą siłą cielesną; dlatego cała dodatkowa władza, którą posiada, opierać się musi albo na naszej własnej opinii, albo na

domniemanej opinii innych. I chociaż miłość dla mądrości i cnót władcy sięga bardzo daleko i ma wielki wpływ, to przecież już wcześniej musi zostać uznana jego publiczna funkcja. W przeciwnym razie społeczny szacunek nie przyniesie mu żadnych korzyści, a również jego cnoty nie będą miały żadnego wpływu, poza wąskim kręgiem.

Rząd może istnieć przez kilka lat, choćby nawet nie istniała równowaga władzy i własności. Dzieje się tak przeważnie tam, gdzie jakaś klasa czy warstwa w państwie zdobyła wielki udział we własności, jednak na mocy konstytucji nie ma udziału we władzy. Pod jakim więc pretekstem jednostka należąca do takiej warstwy mogłaby zdobyć władzę w sprawach publicznych?

Ponieważ ludzie zwykle są bardzo przywiązani do swego starożytnego rządu, nie należy się spodziewać, że obywatele kiedykolwiek będą sprzyjać podobnym uzurpacjom. Tam jednak, gdzie konstytucja dopuszcza do udziału we władzy, choćby niewielkiego, tę warstwę ludzi, która posiada wielki udział we własności, z łatwością będą oni stopniowo rozszerzać swą władzę, sprawiając, że zaistnieje równowaga władzy i własności. Tak właśnie rzecz ma się w Anglii z Izłą Gmin.

Większość pisarzy, którzy zajmowali się ustrojem brytyjskim, przypuszczała, że ponieważ niższa izba reprezentuje wszystkie gminy Wielkiej Brytanii, jej waga na szali jest proporcjonalna do własności i siły tych wszystkich, których reprezentuje. Jednakże zasady tej nie można uznawać za absolutnie słuszną. Bo chociaż lud skłonny jest przywiązywać się do Izby Gmin bardziej niż do jakiegokolwiek innej części, skoro Izbę tę wybiera jako swego przedstawiciela i strażnika swej wolności, to jednak zdarzają się przypadki, kiedy Izba ta, nawet jeśli przeciwstawia się Koronie, nie ma poparcia ludu, co możemy zaobserwować na przykładzie torysowskiej Izby Gmin za panowania króla Wilhelma. Gdyby członkowie Izby zobowiązani byli otrzymywać instrukcje od swych wyborców, jak deputowani holenderscy, zupełnie zmieniałoby to postać rzeczy; i gdyby tak ogromna siła i bogactwa, jak te, którymi dysponują gminy Wielkiej Brytanii, umieszczone zostały na szali, niełatwo byłoby sobie wyobrazić, że Korona mogłaby wpłynąć na taką rzecz albo oprzeć się takiej przewadze własności. Prawdą jest, że Korona ma wielki wpływ na elektorat podczas wyboru członków;

gdyby jednak z tego wpływu, który obecnie wykorzystywany jest tylko raz na siedem lat, czyniono użytek, przekonując lud do każdego głosu, wpływ ten wkrótce zostałby stracony i żaden kunszt, popularność czy bogactwa nie mogłyby go wesprzeć. Dlatego jestem zdania, że jakakolwiek zmiana w tym punkcie wprowadziłaby zupełną zmianę w naszym ustroju i wkrótce zredukowałaby go do czystej republiki; być może do republiki o całkiem dogodnej postaci. Bo chociaż ludzie tworzący grupy takie jak rzymskie *tribus* są zupełnie niezdolni do rządzenia, to jednak gdy zostaną podzieleni na małe grupy, stają się bardziej podatni na racje rozumu i porządku; siła popularnych prądów i nastrojów w znacznym stopniu zostaje przełamana, a interesowi publicznemu można służyć z pewną metodycznością i konsekwencją. Zbytecznym jest jednak dalej rozwodzić się nad formą ustroju, która zapewne nigdy nie zaistnieje w Wielkiej Brytanii i która, jak się zdaje, nie stanowi celu żadnej z naszych partii. Pielęgnujmy więc i udoskonalamy nasz starożytny urząd, jak to tylko możliwe, i nie rozbudzajmy namietności do tak niebezpiecznych nowinek.

O biernym posłuszeństwie

W poprzednim eseju staraliśmy się obalić rozwijane w tym kraju spekulatywne systemy polityki: zarówno religijny system jednej partii, jak i filozoficzny – drugiej. Przechodzimy teraz do zbadania praktycznych wniosków wyprowadzanych przez każdą z partii w odniesieniu do kwestii posłuszeństwa należnego władcom.

Ponieważ zobowiązanie do sprawiedliwości bez reszty opiera się na korzyściach społeczności, wymagających od jej członków poszanowania cudzej własności – w celu zachowania pokoju i ładu – oczywiste jest, że gdyby egzekwowaniu sprawiedliwości towarzyszyły bardzo szkodliwe konsekwencje, wówczas w tak niezwykłych, krytycznych sytuacjach cnotę ową należałoby zawiesić i zastąpić publiczną użytecznością. Maksyma *fiat Justitia et ruat Coelum*, sprawiedliwości musi stać się zadość, choćby niebo miało runąć, jest najwyraźniej fałszywa i poświęcając cel na rzecz środ-

ków, wyraża niedorzeczną ideę rezygnacji z obowiązków. Jakiż gubernator miasta zawaha się przed spaleniem przedmieścia, jeśli ułatwia ono wrogowi dostęp do miasta? Albo który z generałów powstrzyma się od spłądrowania neutralnego kraju, gdy wymaga tego konieczność wojny, on zaś nie mógłby inaczej wyżywić swej armii? Tak samo rzecz ma się z obowiązkiem posłuszeństwa, a zdrowy rozsądek poucza, że ponieważ rząd zobowiązuje nas do posłuszeństwa tylko z uwagi na jego społeczną użyteczność – obowiązek ten, w wyjątkowych przypadkach, gdy posłuszeństwo w oczywisty sposób musiałoby prowadzić do publicznej ruiny, zawsze musi ustąpić podstawowemu i pierwotnemu zobowiązaniu. *Salus populi, suprema lex*, bezpieczeństwo ludu jest prawem najwyższym. Ta zasada trafia do przekonania ludziom wszystkich epok. Nie istnieje też człowiek, który czytając o powstaniach przeciw Neronowi czy Filipowi II, tak byłby zaślepiony przez systemy partyjne, że nie życzyłby sukcesu takiemu przedsięwzięciu i nie pochwałał buntowników. Nawet nasza dostojna partia dworska, wbrew swej subtelnej teorii, zmuszona jest w takich przypadkach osądzać, czuć i pochwalać – tak samo jak reszta ludzi.

Opór jest więc dopuszczalny w wyjątkowych okolicznościach i tylko wśród biegłych może zrodzić się pytanie odnośnie do tego, jakiego rodzaju konieczność usprawiedliwia opór, czyniąc go legalnym i godnym polecenia. Tutaj muszę wyznać, że zawsze będę przychylił się do opinii ludzi, którzy zasadę posłuszeństwa uznają za ściśle wiążącą, a jej naruszenie uważają za ostatnią deskę ratunku w przypadkach beznadziejnych, gdy sprawom publicznym grozi najwyższe niebezpieczeństwo przemocy lub tyranii. Albowiem pomijając utrapienia wojny domowej, która towarzyszy zwykle powstaniu, pewne jest, że tam, gdzie wśród poddanych pojawia się skłonność do buntu, jest ona główną przyczyną tyranii władców, i popycha ich do wielu okrutnych kroków, jakich nigdy by nie podjęli, gdyby każdy ich poddany skłaniał się do uległości i posłuszeństwa. Dlatego tyranobójstwo i zamachy, pochwalane przez starożytne maksymy, zamiast być źródłem strachu tyranów i uzurpatorów, czyniły ich dziesięciokroć dzikszy i bardziej bezlitosnymi; z tego też powodu słusznie są dziś zakazane przez prawa poszczególnych narodów i spotykają się z powszechnym potępieniem jako nikczem-

na i zawodna metoda sprowadzania na ścieżki sprawiedliwości owych burzycieli społeczeństwa.

Ponadto musimy mieć na uwadze to, że ponieważ posłuszeństwo jest naszym obowiązkiem z natury rzeczy, powinno się je wpajać przede wszystkim; trudno też o większą niedorzeczność niż skrupulatność i staranność przy ustanawianiu tych wszystkich przypadków, w których dopuszczalny może być opór. Bo choć filozof w konkluzji wywodów słusznie przyznaje, że zasady sprawiedliwości mogą przestać obowiązywać w wyjątkowych przypadkach, to cóż pomyślelibyśmy o kaznodziei czy kazuiście, który swe główne dzieło poświęciłby wyszukiwaniu takich przypadków i pochwalał je z całym zapalem i elokwencją? Czyż nie byłoby stosowniejszym dla niego zajęciem wpajanie doktryny ogólnej aniżeli wskazywanie poszczególnych wyjątków, do których nadużywania i wykorzystywania i tak mamy nadmierną skłonność?

Istnieją wszelako dwie racje, na które powołać się można przy obronie tej partii, pracownice rozpowszechniającej zasady usprawiedliwiającej opór; zasady, które, trzeba to podkreślić, są jakże niebezpieczne i zgubne dla społeczeństwa obywatelskiego. Racja pierwsza głosi, że ponieważ jej antagoniści doprowadzają doktrynę posłuszeństwa do tak przesadnej skrajności, iż nie tylko nie wspominają nigdy o wyjątkach istniejących w niezwykłych przypadkach (co, być może, dałoby się jeszcze usprawiedliwić), lecz nawet wprost je wykluczają, stało się więc konieczne położenie nacisku na owe wyjątki oraz obrona praw zagrożonej prawdy i wolności. Druga i, być może, lepsza racja opiera się na samej naturze brytyjskiej konstytucji i brytyjskiego ustroju.

Jest niemal osobliwością naszej konstytucji obdarzanie najwyższego sędziego taką rangą i dostojeństwem, że choć ograniczają go prawa, to jest on poniekąd, na ile dotyczy to jego własnej osoby, ponad prawami; nie można go ani przesłuchać, ani ukarać za błąd czy przestępstwo, które mógłby popełnić. Tylko jego ministrowie albo ci, którzy działają z jego upoważnienia, podlegają wymiarowi sprawiedliwości; i gdy książę, przez wzgląd na własne bezpieczeństwo, ulegnie pokusie i pozwoli działać prawom, bezpieczeństwo ogólne zostaje zapewnione dzięki ukaraniu pomniejszych przestępców i jednocześnie unika się wojny domowej, która byłaby nie-

uchronną konsekwencją sytuacji, w której za każdym razem prawo uderzałoby bezpośrednio we władzę. Choć konstytucja obdarza władcę takim zbawiennym przywilejem, nie należy jednak sądzić, że zasada owa prowadzi do własnej destrukcji albo ustanawia potulną uległość, gdy chroni on swych ministrów, trwa w niesprawiedliwości i uzurpuje sobie całą władzę we wspólnocie. W istocie przypadek taki nigdy nie jest przez prawa wyraźnie określony, gdyż niemożliwe jest, aby w swym zwykłym trybie dostarczały nań jakiegoś remedium; nie sposób też powołać wyższego rangą sędziego, który by ukrócił nadużycia władzy. Ponieważ jednak prawo bez remedium byłoby nonsensem, takim remedium jest w tym wyjątkowym przypadku prawo do oporu, kiedy to sprawy zajdą tak daleko, że jedynie dzięki niemu można stanąć w obronie konstytucji. Dlatego też opór musi, rzecz jasna, stać się w ustroju brytyjskim środkiem stosowanym częściej niż w innych ustrojach, które są prostsze i które składają się z mniejszej liczby elementów i części. Tam, gdzie król jest monarchą absolutnym, niewielką znajduje on pokusę popełniania czynów tak tyrańskich, by mogły wywołać słuszny bunt; gdzie jednak jego władza ma granice, lekkomyślna ambicja władcy, nawet bez wielkich występków, doprowadzić go może do podobnej, niebezpiecznej sytuacji. Często twierdzi się, że tak właśnie było z Karolem I; a jeśli wolno nam dziś powiedzieć prawdę, gdy już wygasły wszystkie animozje, było tak również z Jakubem II. Byli oni dobrymi ludźmi o nieszkodliwym charakterze, ponieważ jednak pomylili się co do natury naszej konstytucji i przejęli całą władzę ustawodawczą, stało się konieczne stawienie im oporu, a nawet formalne pozbawienie tego ostatniego władzy, której używał w sposób tak nierozważny i nieuczciwy.

O partiach w ogólności

Spśród tych wszystkich, którzy wsławiają się pamiętnymi wyczynami, najbardziej poczesne miejsce zdaje się przysługiwać prawodawcom i założycielom państw, przekazującym potomności systemy praw i instytucji, stojące na straży pokoju, szczęścia i wolności

przyszłych pokoleń. Wpływ użytecznych wynalazków z zakresu sztuk i nauk sięga, być może, dalej niż wpływ mądrych praw, ograniczony zarówno w czasie, jak przestrzeni; jednakże korzyść płynąca z tych pierwszych nie jest tak wyraźna jak pożytek wynikający z tych ostatnich. Nauki spekulatywne rzeczywiście doskonalały umysł, ale korzyść ta osiągalna jest tylko dla tych nielicznych, którym nie brak czasu, by się im poświęcić. A co do umiejętności praktycznych, które podnoszą standard życia i wzmagają jego uciechy, to dobrze wiadomo, że ludzkie szczęście polega nie tyle na obfitości tychże, ile na spokoju i bezpieczeństwie, które pozwalają z nich korzystać; te zaś błogosławieństwa może zapewnić tylko dobry rząd. Nie mówiąc już o tym, że ogólna prawość i obyczajność, które są tak niezbędne dla szczęścia, nie mogą wypływać z najbardziej subtelnych nauk filozofii czy nawet najsurowszych nakazów religii, lecz muszą bez reszty wynikać z właściwej edukacji młodzieży, będącej skutkiem istnienia mądrych praw i instytucji. Dlatego pozwolę sobie nie zgodzić się w tym szczególe z lordem Baconem, a starożytnych zmuszony jestem uznać za nieco niesprawiedliwych w rozdzielaniu honorów, kiedy wszystkich wynalazców z zakresu sztuk praktycznych – takich jak Ceres, Bachus czy Eskulap – czynili bogami, podczas gdy prawodawców Romulusa i Tezeusza obdarzyli zaledwie godnościami półbogów i herosów.

W tym samym stopniu, w jakim prawodawcom i założycielom państw należy się cześć i szacunek, twórcy sekt i odłamów zasługują na potępienie i nienawiść, ponieważ wpływ faksji jest dokładnie przeciwny wpływowi praw. Faksje podkopują ustroj, prawa czynią bezradnymi i rozbudzają najdziksze animozje wśród ludzi tego samego narodu, którzy wzajemnie powinni udzielać sobie wsparcia i ochrony. Tym zaś, co czyni założycieli partii jeszcze wstrętniejszymi, jest trudność, na jaką napotykają próby wytepienia tych chwastów, gdy już raz zapuszczają w państwie korzenie. W sposób naturalny krzewią się one przez wiele stuleci, co rzadko kończy się inaczej niż zupełnym rozkładem ustroju, w którym zostały zasiane. W dodatku są to rośliny, które najbujniej rosną w urodzajnej glebie; i choć ustroje absolutne nie całkiem są od nich wolne, trzeba uznać, że rosną łatwiej i krzewią się szybciej w wolnych rządach, gdzie zawsze zarażają samą legistatywę, która jako jedyna, poprzez wytrwałe rozdzielanie nagród i kar, jest w stanie je wykorzenić.

Fakcje podzielić można na personalne oraz realne, to jest na fakcje oparte na osobistej przyjaźni czy wrogości, zdolnych stworzyć zwalczające się partie, oraz na takie fakcje, które zasadzają się na rzeczywistej różnicy uczuć czy interesów. Mimo to muszę przyznać, że podziały te rzadko występują w stanie czystym i nie zmieszanym. Często nie dostrzega się, że rząd dzieli się na fakcje, choć w poglądach jego członków nie ma żadnych różnic – rzeczywistych, trywialnych czy istotnych. W tych zaś stronnictwach, które opierają się na rozbieżnościach jak najbardziej rzeczywistych i istotnych, zawsze zauważyć można wiele osobistych niechęci czy sympatii. Jednak mimo tej mieszanki partie należy nazywać personalnymi i realnymi w zależności od zasady, która w nich przeważa i która ma największy wpływ.

Fakcje personalne najłatwiej powstają w małych republikach – każda rodzinna awantura przeradza się tam w sprawę wagi państwowej. Miłość, próżność, rywalizacja, jakakolwiek namiętność, podobnie jak ambicja czy uraza – rodzi tu społeczne podziały. Partie tego rodzaju tworzyli Neri i Bianchi we Florencji, Fregosi i Adorni w Genui, Colonesi i Orsini we współczesnym Rzymie.

Ludzie mają tak nieodpartą skłonność tworzenia fukcji personalnych, że najdrobniejszy pozór różnicy prowadzić może do ich powstania. Cóż bardziej błahego niż odmienność barw strojów cechowych podczas wyścigów konnych? A przecież różnica ta zrodziła dwie najbardziej nieprzejezdane fakcje Bizancjum – Prasinich i Venetich – których wzajemna animozja nie wygasła, dopóki nie zrujnowała tego nieszczęsnego rządu.

W historii Rzymu natrafiamy na znamieny rozdzwęk między dwoma rodami – Polliów i Papiriów – który trwał przez okres prawie 300 lat, przejawiając się przy każdym głosowaniu podczas wyboru nowych urzędników. Fakcje te były tym bardziej osobliwe, że istniały przez tak długi czas, nawet jeśli nie rozprzestrzeniły się i nie wciągnęły do sporu innych rodów. Gdyby ludzie nie mieli silnej skłonności do takich podziałów, obojętność reszty współobywateli musiałaby wygasić głupią wrogość, nie mogąc liczyć na żadną korzyść z nowych dobrodziejstw i szkód z ogólnej sympatii i antypatii, które z konieczności istnieją zawsze wtedy, gdy państwo rozdarte jest między dwa równe sobie stronnictwa.

Nic bardziej zwyczajnego, niż ujrzyć, jak dwie partie, których spór zapoczątkowały realne rozbieżności, waśń ową kontynuują, gdy rozbieżność przestała już istnieć. Gdy ludzie raz znajdą się po przeciwnych stronach, zobowiązują się do przyjaźni wobec osób, z którymi się jednoczą, oraz do wrogości wobec ich przeciwników, a namiętności te często przekazują swym potomkom. Rzeczywista animozja między Gwelfami i Gibelinami wygasła na długo, zanim partie te przestały istnieć. Gwelfowie wzięli stronę papieża, a Gibelinowie cesarza, a jednak kiedy sprzymierzona z cesarzem, choć należąca do Gwelfów, rodzina Sforzów została wypędzona z Mediolanu przez króla Francji wspieranego przez Jacomo Trivulzio i Gibelinów – wówczas papież sprzymierzył się z tymi ostatnimi i razem utworzyli ligę zwróconą przeciw cesarzowi.

Wojny domowe, które przed kilku laty wybuchały w Maroku między białymi i czarnymi jedynie z powodu odmiennego wyglądu, opierają się na śmiesznej różnicy. I słusznie, że się z nich śmiejemy; jestem jednak przekonany, że gdyby sprawy zbadać gruntownie, to my sami dostarczylibyśmy więcej powodów wesołości niż Maurowie. Bo czymże są wszelkie wojny toczone w imię religii, która zatryumfowała w tej kulturalnej i wykształconej części świata? Są one z pewnością bardziej niedorzeczne niż wojny mauretańskie. Różnica wyglądu jest czymś oczywistym i całkiem realnym, ale spór wokół artykułu wiary, która jest najzupełniej niedorzeczna i niezrozumiała, nie polega na różnicy uczuć, lecz na różnicy kilku zwrotów i wyrażen, które jedna strona przyjmuje bez zrozumienia, a druga strona odrzuca – w taki sam sposób.

Fakcje realne podzielić można na te, które oparte są na korzyści i oparte na uczuciu. Spośród wszystkich faksji te pierwsze są najrozsądniejsze, a ich istnienie – najłatwiej wybacalne. Gdy dwie warstwy ludzi, takie jak szlachta i lud, mają w rządzie różne udziały, nie będące we wzajemnej równowadze, w sposób naturalny kierują się odrębnymi interesami; trudno też z sensem oczekiwać innego postępowania, zważywszy, do jakiego stopnia w naturę ludzką wpisany jest egoizm. Wielkiego kunsztu wymaga od ustawodawcy zapobieżenie powstaniu takich partii. Wielu filozofów jest zdania, że zadanie to, podobnie jak eliksir nieśmiertelności czy *perpetuum mobile*, może dostarczać ludziom rozrywki, nigdy jednak nie będzie

można go wynaleźć. W rządach despotycznych faksje pojawiają się nieczęsto; nie są przez to mniej rzeczywiste, czy raczej – są bardziej rzeczywiste i bardziej szkodliwe, właśnie z tej przyczyny. Różne warstwy ludzi – szlachta i lud, żołnierze i kupcy – mają odrębne interesy, ale silniejszy, gnębiąc słabszego, pozostaje bezkarny i nie napotyka na opór, co wywołuje złudne wrażenie, że w takich ustrojach nie istnieją konflikty.

W Anglii podjęto próbę podzielenia narodu na części: posiadaczy gruntów oraz kupców. Jednak bez skutku. Interesy tych dwu grup nie są naprawdę odmienne i nigdy nie będą, dopóki nasz dług publiczny nie urośnie do takiego stopnia, że stanie się nadmiernie uciążliwy i nie do udźwignięcia.

Partie oparte na zasadach, zwłaszcza na zasadach abstrakcyjnych, znane są dopiero czasom współczesnym i są, być może, najbardziej niezwykłym i niewytłumaczalnym fenomenem, jaki dotychczas pojawił się w zakresie spraw ludzkich. Tam, gdzie odmienne zasady są przyczyną przeciwstawnych zachowań, jak ma to miejsce w przypadku wszelkich zasad politycznych, sprawę wyjaśnić można w prostszy sposób. Jednostka, która uważa, że prawo do rządów ma jeden człowiek czy jedna rodzina, nie może łatwo zgodzić się ze swym współobywatelem, który twierdzi, że prawo takie jest w posiadaniu innego człowieka czy innej rodziny. I każdy w naturalny sposób chciałby, aby prawu owemu stało się zadość wedle jego własnych na ten temat wyobrażeń. Tam jednak, gdzie różnicy zasad nie towarzyszą przeciwstawne działania i gdzie każdy mógłby iść własną drogą, nie przeszkadzając sąsiadowi, jak ma to miejsce we wszystkich sporach religijnych – jakież to szaleństwo, jakież obłęd rodzi tak nieszczęsne, fatalne podziały?

Dwu ludzi podróżujących drogą, jeden na wschód, drugi na zachód, łatwo może się wyminąć, jeśli droga jest wystarczająco szeroka. Ale dwu ludzi obstających przy przeciwstawnych zasadach religijnych nie wyminie się tak łatwo i bez wstrząsu, choć można by pomyśleć, że w tym przypadku droga również była wystarczająco szeroka i że każdy z nich mógł bez przeszkód iść dalej w swoją stronę. Taka jednak jest natura ludzkiego umysłu, że zawsze musi on podjąć próbę zapanowania nad innym umysłem, który się doń zbliża, a jednocześnie jakakolwiek odmiennność wywołuje w nim wstrząs. Stąd też zapalczywość, którą większość ludzi przejawia

w dyskusji; stąd również ich zniecierpliwienie w obliczu sprzeciwu w kwestiach najbardziej nawet oderwanych i obojętnych.

Zasada ta, jakkolwiek może się wydawać błaha, zdaje się być źródłem wszelkich religijnych wojen i podziałów. A ponieważ jest ona nieodłączną częścią ludzkiej natury, więc jej działanie nie ograniczałoby się do jednego stulecia i do jednej sekty religijnej, gdyby nie to, że sprzyjają mu dziś czynniki bardziej przypadkowe, które skłonność tę rozbudzają do takiego stopnia, że staje się ona przyczyną największych niedoli i spustoszeń. Większość religii świata starożytnego rodziła się w nieznanym nam stuleciach, pod nieznanymi rządami, kiedy ludzie byli jeszcze barbarzyńcami albo brakowało im wykształcenia, książę zaś, na równi z wieśniakiem, gotów był łatwowiernie przyjąć każdą pobożną bajkę czy opowieść, którą mu podsuwano. Sędzia przyjmował religię ludu i sprytnie przejmując stopniowo pieczę nad sprawami kultu, w naturalny sposób zyskiwał nad nimi kontrolę, łącząc w swym ręku władzę świecką z władzą kościelną. Kiedy jednak pojawiło się chrześcijaństwo, zasady jawnie z nim sprzeczne zakorzenione były głęboko w kulturalnej części świata, pogardzającej narodem, który jako pierwszy przyjął ową nowinkę; nic więc dziwnego, że w tych okolicznościach była ona nieznacznie tylko popierana przez władzę świecką i że kapłani mogli objąć całą władzę nad nową sektą. I nawet w tych zamierzchłych czasach robili z tej władzy tak zły użytek, że surowe prześladowania częściowo² tłumaczyć można zajądłością, którą kapłani wpajali swym zwolennikom. A ponieważ owe

² Mówię: „częściowo”, ponieważ jest prostackim błędem wyobrażać sobie, że starożytni byli tak wielkimi przyjaciółmi tolerancji jak współcześni Anglicy czy Holendrzy. Prawa przeciwko obcym wierzeniom były wśród Rzymian równie stare jak prawo dwunastu tablic; na ich podstawie karano czasem zarówno żydów, jak i chrześcijan, choć na ogół egzekwowano je niezbyt rygorystycznie. Zaraz po podbiciu Galii prawa te zabraniały przyjmować religię druidów komukolwiek z wyjątkiem tubylców, i była to jakaś forma prześladowania. Około 100 lat po owym podboju cesarz Klaudiusz zupełnie wytepił ten zabobon za pomocą prawa karnego, co można by uznać za bardzo surowe prześladowanie, gdyby nie fakt, że naśladowanie obyczajów Rzymian już wcześniej uzdrowiło Galów z ich pradawnych przesądów (Swetoniusz, *Żywot Klaudiusza*). Likwidację zabobonu druidów Pliniusz przypisuje Tyberiuszowi, prawdopodobnie dlatego, że cesarz ten podjął pewne kroki w kierunku ograniczenia jego wpływu (lib. xxx., cap. i). Jest to przykład typowego dla Rzymian umiarkowania i powściągliwości w takich sprawach – jakże różnego od bardzo krwawych i okrut-

rządy kapłanów przetrwały – gdy chrześcijaństwo stało się religią panującą, zrodziły one ducha prześladowań, który zawsze odąd był trucizną społeczeństwa i źródłem istnienia najbardziej zacieklonych facji w każdym ustroju. Dlatego podziały takie, jeśli chodzi o lud, słuszenie można uznać za źródło facji opartych na zasadach (*principles*); choć jeśli chodzi o kapłanów, którzy są siłą napędową facji, to w istocie są one fakcjami opartymi na korzyści.

Istnieje jeszcze inna przyczyna (poza władzą kapłanów oraz rozdzieleniem władzy kościelnej i świeckiej), która uczyniła z chrześcijaństwa scenę religijnych wojen i rozłamów.

Religie, które pojawiają się w wiekach zupełnej ciemnoty i barbarzyństwa, składają się głównie z tradycyjnych podań i opowieści, które w każdej sekcie mogą być różne, nie przecząc sobie wzajemnie, a nawet gdy sobie przeczą, to i tak każdy, bez wielkich rozważań i dyskusji, przyjmuje tradycję własnej sekty. Ponieważ jednak w czasie powstawania chrześcijaństwa szeroko rozpowszechniona była w świecie filozofia, nauczyciele nowej sekty zmuszeni byli stworzyć system spekulatywny, niezbędny, aby uporządkować artykuły wiary, tłumaczyć ją, komentować, uzasadniać i bronić jej za pomocą wszelkich subtelności uczonych wywodów. Stąd też gdy w religii chrześcijańskiej pojawiły się rozłamy i herezje, w naturalny sposób dało to początek sofistyce i ciętości w dysputach. Sprzyjała ona kapłanom w ich polityce szerzenia wśród omamionych wyznawców wzajemnej wrogości i nienawiści. Sekty filozoficzne świata starożytnego były bardziej roznamiętnione niż stronnictwa religijne, jednak w czasach współczesnych stronnictwa religijne bardziej są zawzięte i dzikie niż najbardziej zajadłe facje, jakie kiedykolwiek powstały z interesu i ambicji.

Wspomniałem o fakcjach opartych na uczuciu. Na równi ze stronnictwami opartymi na korzyściach i zasadach uznałem je za odmianę partii realnych. Przez facje oparte na uczuciu rozumiem te, które zasadzają się na przywiązaniu ludzi do poszczególnych rodzin i osób, których rządów by pragnęli.

ných metod traktowania chrześcijan. Stąd też możemy powziąć podejrzenie, że owe dzikie prześladowania chrześcijaństwa do pewnego stopnia tłumaczyć można pełną nierozwagi gorliwością i bigoterią pierwszych krzewicieli tej sekty. Historia kościoła dostarcza wielu przesłanek utwierdzających nas w tym podejrzeniu.

Często fakcje te są bardzo zajadłe, choć muszę przyznać, iż może wydać się czymś niezrozumiałym, że ludzie tak mocno przywiązani są do osób, których w ogóle nie znają, których, być może, nigdy nie widzieli, ze strony których nigdy nie zaznali żadnych dobrodziejstw i po których dobrodziejstwach nie mogą się spodziewać również w przyszłości. A jednak przekonujemy się, że tak właśnie mają się sprawy nawet w przypadku ludzi, którzy w innych okolicznościach nie wykazują szczególnej wielkoduszności i którzy niełatwo, pod wpływem przyjaźni, potrafią się wznieść ponad własny interes. Skłonni jesteśmy sądzić, że nasz związek z suwerenem jest bardzo bliski i zażyły. Przepych majestatu i potęgi dodaje znaczenia nawet bogactwom jednego człowieka. I gdzie urojonych korzyści nie dopatrzy się ludzka dobroduszość, tam znajdzie je złośliwość – z chęci dokuczenia i przeciwstawienia się osobom, których poglądy są odmienne.

O niezależności parlamentu

Pisarze polityczni ustalili jako zasadę, że przy obmyślaniu każdej formy rządu oraz przy tworzeniu tych jego elementów, które kontrolują i trzymają go w ryzach, należy przyjąć, że każdy człowiek jest łotrem i że we wszystkich swych działaniach nie ma żadnego innego celu jak tylko własną korzyść. Wykorzystując tę jego interesowność, musimy nim rządzić, i za jej pomocą sprawić, żeby mimo swej nienasyconej ambicji i chciwości przyczynił się do budowania wspólnego dobra. Bez tego, powiadają ci pisarze, na próżno będziemy chwalać zalety wszelkich konstytucji, a w końcu przekonamy się, że nie istnieje żadne zabezpieczenie dla naszych swobód i własności – z wyjątkiem woli naszych władców; że zatem zabezpieczenie takie w ogóle nie istnieje.

Jest więc słuszną polityczną zasadą, że każdy człowiek musi być uznany za łajdaka. Równocześnie jednak wydaje się nieco dziwne, że w polityce prawdziwa może być maksyma, która fałszywa jest w rzeczywistości. By jednak zadowolić nas w tej kwestii, stwierdzić możemy, że ludzie na ogół są uczciwsi w swych sprawach prywatnych niż w sprawach polityki i posuną się dalej, by przysłużyć

się partii, niż kiedy w grę wchodzi jedynie ich własna korzyść. Honor bardzo dyscyplinuje poczynania ludzi, lecz tam, gdzie współdziała większe grono, ten czynnik dyscyplinujący w znacznym stopniu zostaje usunięty, ponieważ jednostka pewna jest aprobaty własnej partii dla tych swoich działań, które służą ich wspólnemu interesowi; wkrótce też jednostka ta uczy się nie zważać na protesty przeciwników. Możemy do tego dodać, że w każdym sądzie czy senacie decyduje większość głosów, tak że nawet jeśli własną korzyścią kieruje się tylko większość, jak zresztą dzieje się zawsze, to i tak cały senat ulega pokusie owej partykularnej korzyści, postępując tak, jakby żaden spośród jego członków nie miał na względzie dobra wspólnego i wolności.

Gdy więc przedkłada się pod nasz osąd i krytykę jakiegokolwiek projekt rządu – rzeczywisty czy wymaginowany – w którym władza rozdzielona jest między kilka zgromadzeń oraz kilka grup ludzi, zawsze powinniśmy rozważyć partykularną korzyść każdego zgromadzenia i każdej takiej grupy; i jeśli przekonujemy się, że dzięki zręcznemu rozdzieleniu władzy korzyść owa musi z konieczności łączyć się z interesem publicznym – możemy wtedy oświadczyć, iż jest to rząd udany. Jeśli zaś przeciwnie – partykularna korzyść nie jest kontrolowana i zorientowana na dobro publiczne – wówczas nie powinniśmy spodziewać się po takim rządzie niczego innego jak tylko partyjniactwa, zamętu i tyranii. W przekonaniu tym utwierdza mnie zarówno doświadczenie, jak i autorytet wszystkich filozofów i polityków starożytnych oraz nowożytnych.

Jak wielkie więc byłoby zdumienie geniuszy, takich jak Cyce-ron czy Tacyt, gdyby im oświadczono, że w przyszłości powstanie oficjalny system rządów mieszanych, w którym władza tak jest rozdzielona, że jedna jej część, gdyby jej się tylko podobało, mogłaby pochłoniąć całą resztę i przejąć pełnię rządów. Rząd taki, powiedzieliby ci autorzy, nie będzie rządem mieszanym. Tak wielka jest bowiem naturalna ambicja ludzi, że nigdy nie dość im władzy, i jeśli jedna grupa goniąc za własną korzyścią, może naruszyć interesy wszystkich innych, z pewnością tak robi, czyniąc siebie – tak dalece, jak to możliwe – absolutną i nie podlegającą kontroli.

A jednak w tej kwestii, jak pokazuje doświadczenie, pisarze ci bardzo by się mylili. Bo właśnie tak rzecz ma się z ustrojem brytyjskim. Udział we władzy przypisany przez konstytucję Izbie Gmin

jest tak wielki, że zdecydowanie góruje ona nad wszystkimi innymi częściami rządu. Jest oczywiste, że ustawodawcza władza króla nie stanowi dla niej żadnego hamulca. Bo choć król ma prawo *veta* przy powoływaniu praw, to znaczenie tego faktu uważane jest za tak znikome, że cokolwiek przegłosują te dwie Izby, zawsze na pewno stanie się prawem, a zgoda monarchy to zaledwie formalność. Zasadnicze znaczenie Korony polega na jej władzy wykonawczej. Jednakże władza wykonawcza w każdym rządzie całkowicie podlega legislatywie; ponadto, powiadam, pełnienie tej władzy wymaga ogromnych nakładów, tymczasem Izba Gmin wyłączne prawo przyznawania funduszy zatrzymała dla siebie. Jakże więc łatwo mogłaby owa Izba pozbawić Koronę wszystkich jej kompetencji, jedna po drugiej, czyniąc każdą z owych subwencji warunkową, a czas ich przydzielania wybierając tak zręcznie, że odmowa wsparcia przysporzyłaby rządowi tylko zmartwień, nie dając jednak obcym siłom żadnej nad nami przewagi! Czy gdyby Izba Gmin w taki sam sposób uzależniona była od króla, a żaden z jej członków nie posiadał niczego ponadto, co otrzymał w prezencie od monarchy – czy król nie mógłby wtedy zrealizować wszystkich swych postanowień, stając się od tej chwili monarchą absolutnym? Jeśli chodzi o Izbę Lordów, to jest ona dla Korony wsparciem bardzo potężnym, dopóki sama z kolei jest popierana przez Koronę; bo zarówno doświadczenie, jak i rozum pokazują, że Izba Lordów nie ma ani władzy, ani autorytetu pozwalających jej istnieć o własnych siłach i bez takiego wsparcia.

Jak więc mamy rozwiązać nasz paradoks? I za pomocą jakich środków ten element naszej konstytucji utrzymywany jest w w stosownych granicach, skoro na mocy samej konstytucji Izba Gmin z konieczności musi mieć tyle władzy, ile zażąda, i może być ograniczana tylko przez samą siebie? W jaki sposób daje się to pogodzić z naszym doświadczeniem dotyczącym natury ludzkiej? Odpowiadam na to, że korzyść ciała ustawodawczego jest tutaj powściągana przez interesy jednostek i że Izba Gmin nie rozszerza swej władzy, gdyż taka uzurpacja byłaby sprzeczna z interesami większości jej członków. Korona ma do dyspozycji tak wiele urzędów, że przy poparciu uczciwej i bezinteresownej części Izby zawsze zdominuje postanowienia całości – w stopniu pozwalającym przynajmniej uchronić starożytny ustrój od niebezpieczeństwa.

Możemy zatem nazywać ten wpływ tak, jak nam się podoba – możemy określać go obelżywym mianem korupcji oraz uzależnienia; jednakże do pewnego stopnia i w niektórych swych postaciach są one nieodłączne od samej istoty ustroju, są też niezbędne dla zachowania naszych rządów mieszanych.

Zamiast więc kategorycznie orzekać, że najmniejsze nawet uzależnienie parlamentu jest pogwałceniem brytyjskiej wolności, partia agrarna powinna była poczynić pewne ustępstwa na rzecz swych adwersarzy i tylko powinna była zbadać, do jakiego stopnia zależność owa byłaby właściwa, a kiedy stałaby się ona zagrożeniem dla wolności. Nie sposób jednak podobnego umiaru spodziewać się po członkach jakiegokolwiek partii. Po tego rodzaju ustępstwie trzeba by zarzucić wszelkie deklamacje, od czytelników zaś należałoby oczekiwać spokojnych dociekań nad tym, do jakiego stopnia byłyby pożądane wpływ dworu i zależność parlamentu. I choć korzyść z takiej kontrowersji mogłaby odnieść partia agrarna, to jednak zwycięstwo nie byłoby tak całkowite, jakby sobie tego życzyła, a również prawdziwy patriota nie pofolgowałby całej swej gorliwości z obawy przed tym, by sprawy nie przeszły w drugą skrajność – poprzez nadmierne zmniejszenie wpływu Korony³. Toteż najłatwiej było zaprzeczyć, że owa skrajność kiedykolwiek mogłaby zagrozić ustrojowi albo że Korona kiedykolwiek mogłaby mieć zbyt mały wpływ na członków parlamentu.

Wszelkie kwestie dotyczące środka między skrajnościami trudne są do rozstrzygnięcia zarówno dlatego, że niełatwo jest znaleźć odpowiednie słowa mogące środek ten ustalić, jak i z tej przyczyny, że dobro i zło splatają się ze sobą tak nierozzerwalnie, że nawet nasze myśli napęłniają zwątpieniem i niepewnością. Szczególna jednak trudność tkwi w obecnie rozważanym zagadnieniu, które

³ Przez ów „wpływ Korony”, który usprawiedliwiam, rozumiem tylko taki wpływ, jaki opiera się na urzędach i honorach będących w dyspozycji Korony. Co do prywatnego łapówkarstwa, to można rozważać je w tym samym świetle co praktykę zatrudniania szpiegów, którą z trudem da się usprawiedliwić w przypadku dobrego ministra i która jest haniebna w przypadku ministra złego. Ale samo bycie szpiegiem czy człowiekiem skorumpowanym zawsze jest haniebne i pod każdym ministrem powinno być uważane za bezwstydną prostytutkę. Polibiusz słusznie szacuje, że wpływ pieniędzy na senat i na cenzorów był jednym z prawidłowych konstytucyjnych zabezpieczeń, które zachowały w równowadze ustrój Rzymu.

wprawiłoby w zakłopotanie najmądrzejszego i najbardziej bezstronnego z badaczy. Władzę Korony zawsze sprawuje jednostka: król bądź minister a ponieważ osoba ta może posiadać ambicję, talent, odwagę, popularność czy majątek w stopniu większym lub mniejszym – władza, która w jednych rękach jest zbyt duża, w innych może okazać się niewystarczająca. W czystych republikach, w których władza rozdzielona jest między kilka zgromadzeń czy senatów, systemy kontroli rządów funkcjonują bardziej prawidłowo, ponieważ członków tak licznych zgromadzeń zawsze można za niemal równych sobie pod względem zdolności i dzielności i tylko ich liczba, bogactwa oraz znaczenie są tym, co bierze się pod uwagę. Tymczasem w ograniczonej monarchii nie istnieje taka stabilność. Nie jest też możliwe przydzielenie Koronie tyle władzy i tak określonej, by w każdych rękach stanowiła ona właściwą równowagę dla pozostałych części ustroju. I pośród wielu zalet tego rodzaju rządów jest to ich nieunikniona wada.

*O tym, czy ustrój brytyjski skłania się raczej
ku monarchii absolutnej, czy ku republice*

Jest poważnym naruszeniem reguł nauki, gdy człowiek roztropny, nawet będąc pewnym swoich zasad, śmie wygłaszać proroctwa dotyczące przyszłych zdarzeń czy przepowiadać odległe konsekwencje zdarzeń. Lekarz nie ośmieli się o stanie zdrowia pacjenta orzekać z wyprzedzeniem dwu tygodni czy miesiąca. Tym bardziej polityk nie odważy się przepowiadać stanu spraw publicznych na kilka lat wprzód. Harrington tak był pewien swej zasady ogólnej, głoszącej, że ilość władzy zależy od ilości własności, że zaryzykował stwierdzenie, iż nie jest możliwe, aby kiedykolwiek udało się w Anglii odrestaurować monarchię. A przecież jego książkę z trudem udało się opublikować, kiedy przywrócono urząd królewski; widzimy też, że od tamtego czasu istnienie monarchii opiera się na takich samych zasadach jak i wcześniej. Jednak mimo tego niezbyt szczęśliwego przykładu podejmę ryzyko zbadania doniosłej

kwestii, a mianowicie tego, czy ustrój brytyjski skłania się raczej ku monarchii absolutnej, czy ku republice, jak również tego w którym z tych dwóch rodzajów ustroju najpewniej skończy. A ponieważ tak czy owak nie istnieje wielkie niebezpieczeństwo niespodziewanej rewolucji, to przynajmniej uniknę wstydu za swe zuchwalstwo, jeśli okaże się, że nie miałem racji.

Ci, którzy twierdzą, że ustrój nasz zmierza ku monarchii absolutnej, opinię swą poprzeć mogą następującymi racjami. Nie można sensownie zaprzeczyć, że własność ma wielki wpływ na władzę; a jednak zasada ogólna, że ilość jednej zależy od ilości drugiej, może być przyjmowana tylko z pewnymi ograniczeniami. Oczywiście jest, że znacznie mniejsza własność skupiona w jednym ręku będzie w stanie zrównoważyć większą własność kilku osób; nie tylko dlatego, że trudno sprawić, aby kilka osób miało te same poglądy i połączyło środki, lecz również dlatego, że własność, gdy jest połączona, rodzi znacznie większą zależność niż ta sama własność – rozproszona. Sto osób, z których każda ma roczny dochód w wysokości 1000 ludwików, może przejeść cały swój dochód i nie skorzysta na tym nikt z wyjątkiem ich służących i kupców, którzy słusznie uznają swe zyski za efekt własnej pracy. Jednak człowiek, którego roczny dochód wynosi 100 tysięcy ludwików, jeśli ma odrobinę sprytu i hojności – może stworzyć armię ludzi mających wobec niego zobowiązania i jeszcze większą armię ludzi wiążących z nim swe nadzieje. Stąd też możemy zauważyć, że we wszystkich wolnych rządach każdy zbyt bogaty poddany zawsze budził zazdrość, nawet jeśli jego bogactwa miały się nijak do bogactw państwa. Fortuna Krassusa, o ile dobrze pamiętam, wynosiła w przeliczeniu na naszą walutę jedynie około 2,5 miliona, a jednak stwierdzamy, że choć jego geniusz nie był niczym szczególnym, Krassus, dzięki samym bogactwom, był w stanie zrównoważyć potęgę zarówno Pompejusza, jak i Cezara, który później stał się panem świata. Bogactwa Medyceuszy uczyniły z nich władców Florencji, choć jest prawdopodobne, że nie były wielkie w porównaniu z łącznym majątkiem tej zamożnej republiki.

Rozważania te wprowadzają nas w analizę wspaniałego zjawiska brytyjskiego ducha i umiłowania wolności, potrafiłszy bowiem zachować nasz wolny ustrój przez tak wiele stuleci i wbrew naszym suwerenom, którzy – poza potęgą, dostojeństwem i majesta-

tem Korony – zawsze byli w posiadaniu znacznie większej własności niż jakikolwiek poddany w jakimkolwiek państwie. Można jednak twierdzić, że duch ten, jakkolwiek wielki, nigdy nie zdoła oprzeć się ogromnemu majątkowi, który obecnie należy do króla i który wciąż się powiększa. Wedle skromnego szacunku, Korona dysponuje co roku blisko 3 milionami; lista cywilna opiewa na prawie milion; dochód z podatków wynosi następny milion, dochód z armii i floty, wraz z zyskami ze stanowisk kościelnych (*preferements*) – trzeci milion z górą; jest to olbrzymia suma, którą słusznie szacować można na ponad 1/30 dochodu i pracy Królestwa. Kiedy do tego ogromnego majątku dodamy rosnącą zamożność narodu, naszą skłonność do korupcji, wraz z wielką władzą, prerogatywami i zwierzchnictwem nad armią – nie ma człowieka, który by wątpił, że tylko z największym trudem jest w stanie popierać obciążony tyloma wadami nasz wolny ustrój.

Z drugiej strony, ci, którzy twierdzą, że ustrój brytyjski skłania się ku republice, pogląd swój mogą poprzeć wiarygodnymi argumentami. Można by powiedzieć, że choć ta ogromna własność Korony łączy się z godnością najwyższego sędziego oraz wieloma innymi przywilejami i prerogatywami, które w sposób naturalny wpływ ów mogłyby tylko powiększyć, to jednak tak naprawdę Korona staje się dla wolności mniej niebezpieczna – z tego samego powodu. Gdyby Anglia była republiką i gdyby którykolwiek obywatel posiadał dochód równy 1/3 czy choćby 1/10 dochodu Korony, całkiem słusznie wzbudzałyby zazdrość, ponieważ niezawodnie miałby wielkie wpływy w rządzie. Taka zaś niejawna władza, której nie przyznano by zgodnie z prawem, zawsze jest bardziej niebezpieczna niż władza znacznie większa, lecz z prawa się wywodząca. Człowiek, który posiadał władzę na drodze uzurpacji, nie nakłada na swe roszczenia żadnych ograniczeń. Jego zwolennicy mogą liczyć na wszystko, co i dla niego jest korzystne; jego wrogowie rozbudzają jego ambicję i strach przez zaciekłość swego sprzeciwu. A ponieważ rząd jest w stanie zamętu, każdy „zepsuty humor” w sposób naturalny udziela się również i władcy. Władza legalna, przeciwnie: choćby nawet była wielka, zawsze ma pewne granice, poza które nie wykraczają ani nadzieje, ani roszczenia osoby, będącej w jej posiadaniu. Prawa muszą więc dostarczać środka przeciwko jej nadużyciom – w ten sposób wysoki urzędnik wskutek swych uzurpacji wiele ma do stracenia,

a mało do zyskania. A ponieważ ludzie bez szemrania podporządkowują się jego prawnie ugruntowanej władzy, niewielką ma on pokusę i sposobność dalszego jej rozszerzania. Poza tym z ambitnymi celami i projektami bywa tak, jak to można zaobserwować w przypadku sekt filozoficznych i religijnych. Nowa sekta wzbudza tak wielkie poruszenie, a broniona jest i atakowana z taką gwałtownością, że zawsze rozprzestrzenia się i zjednuje sobie nowych zwolenników szybciej niż jakakolwiek zastana opinia, poświadczona sankcjami prawa i starożytnego pochodzenia. Taka już jest natura nowości, że gdy z jakiegoś powodu podoba się, to podoba się w dwójnasób – bo jest nowa; gdy zaś się nie podoba, to nie podoba się podwójnie – z tej samej przyczyny. W większości zaś przypadków pasja przeciwników sprzyja ambitnym projektom w tym samym stopniu co zapal zwolenników.

Można dalej zauważyć, że chociaż ludźmi rządzi głównie korzyść własna, to przecież samą tą korzyścią oraz wszystkimi ludzkimi sprawami bez reszty rządzi opinia. W ciągu ostatnich 50 lat nagle i wyraźna zmiana dokonała się w ludzkich opiniach pod wpływem postępów nauki i wolności. Większość mieszkańców tej wyspy zupełnie wyzbyła się przesądnego szacunku dla nazwisk i autorytetów. Kler utracił wiele z zaufania, jakim go darzono; roszczenia i doktryny zostały ośmieszone; nawet sama religia z trudem może utrzymać się na świecie. Imię króla niewielki wzbudza respekt, a mówienie o nim jak o namiestniku Boga na ziemi czy nadawanie mu jednego z owych wspaniałych tytułów, którymi dawniej mamiono ludzkość, wzbudzałoby w każdym tylko śmiech. Chociaż Korona, dzięki swym wielkim dochodom, może w czasie pokoju zachować władzę nad interesami i wpływami jednostek, to jednak najmniejszy wstrząs albo spazm musiałby roztrzaskać wszystkie te interesy na kawałki i władza królewska, nie będąc już dłużej wspieraną przez ustalone zasady i ludzkie opinie, natychmiast przestałaby istnieć. Gdyby nastawienie ludzi było podczas rewolucji takie samo jak obecnie, monarchii groziłby na tej wyspie zupełny rozkład.

Gdybym wśród tych przeciwstawnych racji odważył się przedstawić mój własny pogląd, to stwierdziłbym, że jeśli nie nastąpi jakiś niezwykle wstrząs, władza Korony, dzięki swym wielkim dochodom, ulega raczej powiększeniu; choć równocześnie wyznaję, iż wzrost ten wydaje się bardzo powolny i prawie niedostrzegalny. Wahadło

wykonało gwałtowny ruch i przez długi czas wychylone było w stronę rządu ludowego, a teraz zaczyna wracać ku monarchii.

Jest rzeczą dobrze znaną, że każdy ustrój czeka kiedyś koniec, że śmierć jest w przypadku bytów politycznych równie nieunikniona, jak w przypadku istot żywych. Ponieważ jednak jeden rodzaj śmierci przedkładać można nad inny, wolno również dociekać, czy dla brytyjskiego ustroju lepiej jest, by skończył jako rząd ludowy, czy jako monarchia absolutna. I tutaj szczerze oświadczam, że choć wolność lepsza jest od niewolnictwa prawie w każdym przypadku, to jednak na naszej wyspie wolałbym raczej zobaczyć monarchię absolutną niż republikę. Bo rozważmy, jakiego typu republiki moglibyśmy się spodziewać. Nie wchodzi tu w grę żadna piękna, urojona republika, której plany można snuć w zaciszu gabinetu. Nie ulega wątpliwości, że rząd ludowy uznać można za doskonalszy od monarchii absolutnej czy choćby od naszego obecnego rządu. Z jakiej jednak racji moglibyśmy się spodziewać, że tego rodzaju ustrój kiedykolwiek zapamięta w Wielkiej Brytanii po rozpadzie monarchii? Jeśli jakakolwiek jednostka zdobywa władzę pozwalającą rozmontować nasz ustrój na części i zbudować go na nowo, to w istocie ktoś taki jest monarchą absolutnym. Mieliliśmy już przypadek tego rodzaju, wystarczający, by nas przekonać, że taka osoba nigdy nie wyrzeknie się władzy ani nie ustanowi wolnego ustroju. Dlatego sprawy te należałoby powierzyć naturalnemu ich rozwojowi. Izba Gmin zaś, zgodnie z aktualną konstytucją, musiałaby pozostać jedyną legislatywą w takim rządzie ludowym. Istnieją tysiące niedogodności związanych z tym stanem rzeczy. Gdyby Izba Gmin uległa samorozwiązaniu (czego zresztą nie należałoby się spodziewać), to wówczas przy każdej elekcji czekałaby nas wojna domowa. Gdyby Izba ta przetrwała, musielibyśmy znosić tyranie fakkji podzielonych na następne fakkje. A ponieważ taki dziki ustrój nie mógłby długo istnieć, w końcu, po wielkich wstrząsach i wojnach domowych, wytnienie znaleźlibyśmy w monarchii absolutnej, którą od samego początku lepiej i szczęśliwiej dla nas byłoby ustanowić na drodze pokojowej. Monarchia absolutna jest zatem najłagodniejszą śmiercią, prawdziwą eutanazją ustroju brytyjskiego.

Jeśli więc mamy powody, by raczej strzec się monarchii z tej racji, że jej niebezpieczeństwo wisi nad nami od ćwierćwiecza, to mamy również powody, żeby jeszcze bardziej obawiać się rządu

ludowego, ponieważ to zagrożenie jest straszniejsze. Być może, fakt ten da nam lekcję umiarkowania we wszystkich naszych politycznych sporach.

Przetłóżył Michał Filipczuk
